Nr. 145. Lwów — Środa dnia 27 Czerwca. **Rok 1894.**

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . 5 „
Numera z poprzednich miesięcy po 10 ct.

„Przegląd“ jest do nabycia we Lwowie w obu Biurach sprzedaży dzienników i we wszystkich większych trafikach.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi: Miesięczna złr. 1.10 | Półroczna . . . Kwartalna . . . | Roczna . . .
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Prenumeratę należy przesyłać przekazami pocztowemi.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korrespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
O głoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . . . 20 „
Nekrologia . . . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Władysława | Ammosa Prep.
Jutro: św. Leona II. Pap. | Tychona

Adres Redakcyi i Administracyi: **Ulica Sykstuska l. 45.**

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca g. 4 m. 7 | Długość dnia g. 15 m. 51
Zachód „ „ 7 „ 58 | Ubyło dnia od wczoraj 0 m.

Uprzaszamy pp. Prenumeratorów z prowincyi o wczesne odnawianie prenumeraty. Wynosi ona z przesyłką pocztową

miesięcznie 1 złr. 10 ct.
kwartalnie 3 złr.

Z zmianą adresu należy zapłacić 20 ct. Bez uiszczenia tej opłaty nie ma nikt prawa żądać zmiany adresu.

Jedynie ci prenumeratorowie, którzy mają zwyczaj wcześnie odnawiać prenumeratę, nie są narażeni na przerwę w otrzymywaniu pisma.

Przegląd polityczny.

Lwów 26 czerwca.

Smutne i nieco dziwne dni przeżywamy. Zamiast zwyczajnej w letnich miesiącach ciszy w świecie politycznym, wypadki gonią teraz za wypadkami, jedne wstrząsające, inne jakieś zagadkowe. Śmierć Carnota, który stał się ofiarą anarchicznych nauk, ofiarą najzupełniej niewinną, przeraziła całą Europę. W sobotę z rana wyjechał on z wszystkimi ministrami na otwarcie prowincyonalnej wystawy do Lyonu. Chociaż to nie jest zwyczajem paryskiej ludności, żegnała go ona bardzo serdecznie, zebrała się przed Elizejskim pałacem i przed dworcem, i tam wołała: „Niech żyje!“ — jak gdyby przeczuwała, że go naprawdę żegna i na zawsze. I w Lyonie także zgotowano mu serdeczne przyjęcie. Bo też i zasłużył na nie całem swem nieskazitelnem urzędowaniem, zachowując się zawsze tak konstytucyjnie, że nawet o bierność, o proste figurowanie był pomawiany. Kto wie jednak, czy przez to nie oszczędził Francyi niejednego ciężkiego przejścia i czy swą postawą nie podniósł powagi swego urzędu, sponiewieranego wprawdzie nie przez Grévy'ego, ale przez „zięcia republiki“, p. Wilsona, co we Francyi na jedno wychodzi. Stojąc na czele państwa, on jeden uniknął panamskiego błota. Gdyby nie uczynił nic więcej, już tylko tem bardzoby się zasłużył Francyi, ale on swą pozorną biernością zdołał zachować pewną wyższość władzy i zapewnić dla niej szacunek tam, gdzie już nic nie jest szanowane, a wyśmiewane wszystko — i to jest jego wielka zasługa. Zginął z ręki obcego zbrodniarza, pewnie szaleńca, wychowanego przez anarchię. Sam ten fakt, że zabił go człowiek całkiem obcy, którego nie mogą obchodzić francuskie stosunki, jest znamienny. Dowodzi on pokrewieństwa wszystkich rewolucyonistów i zarazem wskazuje, że doktryna anarchistów rozwija w nich osobnego rodzaju waryacyę, która się objawia jakąś monomanią morderczą. Dwaj ostatni mordercy, ów Lega, który chciał zgładzić Crispiego, i ten Santo, który wbił swój sztylet w Carnota, — to dwudziesto-paroletni ludzie, nietyle zapewne zbrodniarze w zwykłem znaczeniu wyrazu, ile raczej łotry-szaleńcy, wyćwiczeni w szkole anarchii. Dla społeczeństw, parlamentów i prawodawców wynika z tego jasna nauka, która jednak pójdzie w las, jak poszło już tyle innych i pójść musiało, bo ci, co chcą dziś wpływać na stosunki państwowe i rządzić, zmuszeni są zabiegać o zaufanie nie warstw rozważnych, ale warstw bardzo szerokich i przytem bardzo krzykliwych, muszą więc im schlebiać, a nie nakładać na nie hamulców. Kiedy równocześnie z tą zbrodnią lyońską, wiec socyalistów wiedeńskich, wśród krzyków, przekleństw i wściekłych wymyślań, domagał się powszechnego głosowania, to mimowoli, przez zwykłe kojarzenie myśli, powstać musiało w każdym przekonanie, że na tym wiecu domagają się tego, co we Francyi doprowadziło do lyońskiej zbrodni, — doprowadziło, oczywiście, nie wprost, ale pośrednio, w ten sposób, że wybrańcy tłumów muszą tłumów słuchać, im folgować, ciągle cugli popuszczać, a te tłumy słuchają znów krzykaczy, komunardów, dynamitowców, słowem wszelkiego rodzaju zbrodniarzy.

Śmierć Carnota postawiła Francyę w konieczności zająć się przedwcześnie wyborem prezydenta. Jeszcze cztery miesiące trwałyby intrygi stronnictw i zabiegi kandydatów, gdyby wybór miał się odbyć w terminie, oznaczonym przez konstytucyę — a z tych starć skorzystałaby może jakaś mierność. Teraz na intrygi jest tylko dni parę, bo kongres elekcyjny jutro się zbierze, nadto zaś wrażenie, wywołane zbrodnią lyońską, pewne w tej gorącej chwili zachęca wszystkich do słusznej represyi i może podyktuje deputowanym wybór dzielnej osobistości, naprzykład Périera. W takim razie niewinna krew Carnota oddałaby Francyi jeszcze jedną usługę.

W ciągu lat trzynastu to drugi zwierzchnik państwa pada na ulicy z ręki mordercy. Niezawodnie da to wszystkim rządom dużo do myślenia.

Przeżywamy dni smutne z powodu zamachów i — jakieś politycznie niepewne. Dzieje się w istocie coś zagadkowego, jak gdyby w sferach, niedostępnych dla szerokiej publiczności, za grubą zasłoną dyplomatyczną, przesuwały się jakieś niebezpieczne cienie. Wizyta arcyksięcia Józefa w Białogrodzie, tak zgoła niespodziewana i niczem na pozór nieusprawiedliwiona, musi znaczyć więcej, niż zwyczajna grzeczność, do której nie było żadnego powodu. Może ona w istocie jest tylko tą radykalistom serbskim wskazówką, o jakiej mówi wczorajszy nasz list z Wiednia, lecz zaraz potem zaszedł fakt, który pozwala przypuszczać, że owa wycieczka arcyks. Józefa do serbskiej stolicy może mieć także jakieś szersze polityczne znaczenie. Oto, w Kilonii cesarz Wilhelm, w przemowie swej do marynarzy, umieścił następujące słowa: „Miejcie w pogotowiu wyostrzoną stal, abyście w chwili, gdy was — czego nie daj Boże — powołam, nietylko stanęli w obronie honoru, ale także okryli się sławą“. Mieć w pogotowiu ostre miecze, toć obowiązek wojska; po to ono istnieje i to rzecz tak znana, że o tem się nie mówi w zwykłych okolicznościach. Wprawdzie cesarz Wilhelm w pierwszych miesiącach swego panowania bardzo często w mowach swych używał zwrotów, przypominających szczęk orężów, ale też były to politycznie inne czasy, a nadto od takich brzęków już nas odzwyczaił cesarz niemiecki, więc znowu, posłyszawszy takie wyrazy, jesteśmy skłonni przypuszczać, że jest coś faktycznego, co je wywołało i co komuś ma posłużyć za wskazówkę, iż dyplomacya niemiecka czuwa, wie o czemś, i ostrzega. Mówimy, naturalnie, o wrażeniu naszem, odniesionem ze słów Wilhelma II i z tej równoczesnej wycieczki arcyks. Józefa do Białogrodu, ale nie przeczymy, że to wrażenie może już jutro się zmienić. Zawsze pozostanie ponurem piętnem chwili tragiczna śmierć Carnota.

Polscy chłopi z różnych ziem naszych pod rosyjskiem panowaniem zaczęli licznie emigrować na Sybir, — do kraju, którego sama nazwa brzmi strasznie dla polskiego ucha, bo się w umyśle naszym łączy z pojęciem o ziemskiem piekle. Gromady wieśniaków z żonami i dziećmi wędrują z początku koleją, lecz rychło wyczerpują się ich pieniężne zasoby i wtedy miesiącami idą oni o żebraczym kiju, nad Wołgą długo a mozolnie pracują przy statkach na trochę grosza, potem zaś posuwają się coraz dalej na wschód, aż wreszcie za Uralem giną w bezbrzeżnych stepach. Ten prąd emigracyjny jest tak samo gorączkowy, jak przedtem był do Brazylii. Chłopi nawet zasobni sprzedają swe grunta, za byle co pozbywają się dobytku i idą szukać lepszej doli w sąsiedztwie katorgi. W niejasnych pojęciach ludu naszego Ameryka przedstawia się jako kraj, w którym tyle bogactw, że tylko po nie się schylać, a przytem jako ziemia, z której powrót nie jest zakazany. Nic tedy dziwnego, że przyciśnięty niedostatkiem, nieraz wyzyskiem, a zachęcony przykładami, rzuca się za ocean i jeśli mu szczęście posłuży, wraca z groszem i doświadczeniem. Ale Syberya była dlań zawsze i słusznie synonimem nieszczęścia i cierpienia. Tam nie bogactwa, lecz łzy, nie korzystnej pracy wrzawa, ale dzwon kajdan; stamtąd powrotu nie ma. Po cóż więc idą tam ci biedacy? Kto im tę myśl podsunął? *Wołżańska Gazeta*, która opisuje gromady polskich wędrowców, utrzymuje, że oni skarżą się, iż rząd nie puszcza ich do Ameryki, „doma zaś już nijak żyć nie można“ — mówią i dodają: „ziemia jest, ale nam od niej zaśię, a mówiono nam, że za Syberyą jest taki kraj, gdzie w o l a“. Więc są tacy, którzy ich okłamują, łudzą pożądaną wolą, a rząd, który zabraniał iść do Ameryki, nie stawia żadnych przeszkód wędrówce na Sybir, albo raczej gdzieś za Sybir. Oczywiście, rosyjskie dzienniki wyzyskują tę emigracyę dla nowych paszkwilów na szlachtę polską, zapominając umyślnie, że od lat trzydziestu ta szlachta nic nie znaczy, odetchnąć swobodnie nie może — i że czynownictwo rosyjskie specyalnie opiekuje się włościanami. Jeśli chłopom naszym „nijak doma żyć już nie można“, to juści diejatisie temu winni w pierwszym rzędzie, bo na mocy tysiącznych ukazów oni są wyłącznymi panami naszej ziemi i naszych stosunków. „Ziemia jest — mówią emigranci na Sybir — ale nam od niej zaśię“. Może się to wydać dziwnem, wszelako zupełnie odpowiada prawdzie. Po roku 1863 wydał Murawjew rozporządzenie, zakazujące chłopom wyznania katolickiego, czyli chłopom polskim nabywać ziemię bądź od innych chłopów, bądź od szlachty. Rozkazu tego nigdy ściśle nie przestrzegano, bo było niezmiernie trudno kontrolować prawo własności do każdego zagonu. Chłopi między sobą, a nawet i z dziedzicami nie robią żadnych kontraktów kupna i sprzedaży. Jeśli kiedy się zdarzy, że urzędnicy wmięszają się do jakiejś transakcyi i wtedy sprawa musi przejść przez sąd i notaryusza, to jednak potem chłopi przychodzą do pana, oddają mu otrzymane urzędowe akta, bo—mówią—że to jest nie wiedzieć co, natomiast proszą, aby pan dał im prosty kwitek ze swym podpisem, tak bowiem było z dziada pradziada i zawsze było dobrze. Otóż skoro takie istniały stosunki, to niepodobna było przeprowadzić rozkazu murawjewowskiego, chybaby nad każdym morgiem postawiono osobnego stróża w carskim mundurze. Ale niedawno litewski wielkorządzca Orżewskij przypomniał swym urzędnikom ów Murawjewa ukaz i kazał zbadać, o ile on nie jest wykonywany. Podobne przypomnienie zrobiono także na Podlasiu, w Lubelskiem, a zwłaszcza w Augustowskiem i Łomżyńskiem, jako w okolicach sąsiadujących z Litwą i skazanych na przyśpieszone rosyanizowanie. Zaczęły się tedy czynownicze pościgi za „nielegalnemi“ nabytkami ziemi przez polskich chłopów, zaczęło się zmuszanie tych chłopów do pozbywania się nabytych zagród, zupełnie tak samo, jak się to czyni z polską szlachtą, ale o tem głucho w Europie, może nawet i w Petersburgu nic nie wiadomo, bo skargi katowanego ludu brzmią coraz słabszym głosem. Ale ten nowy środek gnębienia, wymyślony przez Orżewskiego, doskonale tłómaczy emigracyjny prąd chłopów na Sybir. Bo rzeczywiście, cóż im pozostaje, tym biednym ludziom, dla których kawałek gruntu jest jedynem na świecie punktem oparcia? Wrogi rząd broni im ojczystej ziemi i do Ameryki nie puszcza, wśród kacapów w rosyjskich guberniach osiadać nie chcą, bo droga im wiara i język, — idą tedy gdzieś aż za Sybir, bo powiedziano im, że tam nareszcie znajdą kraj, gdzie wola, — gdzie Polakowi żyć wolno!...

KORESPONDENCYE.

Paryż 17 czerwca.

(*W. Z.*) Tegoroczna wystawa sztuk pięknych w obu salonach paryskich: na polach Elizejskich i na polu Marsowem jest pod względem ilości wystawionych dzieł sztuki jedną z najbogatszych, jakie kiedykolwiek mieliśmy w Paryżu. Wystawiono ni mniej ni więcej tylko przeszło 4000 obrazów, a płótno zużyte na nie daje obszar co najmniej 10 kwadratowych kilometrów. Jestto jednoroczna produkcya artystyczna Francyi, nie licząc obrazów nieprzyjętych na wystawę, których było znacznie więcej.

Wrażenie ogólne, wywołane tym lasem obrazów, streścić można tak: olbrzymie te artystyczne jarmarki wywierają, jak się zdaje, na malarzy wpływ dwojaki: podniet im są do doskonalenia swej techniki, by uniknąć odpalenia przez przyjmujących obrazy sędziów, których nawał nadsyłanych obrazów usposabia wybrednie, a po przyjęciu nie odbijać ujemnie wobec znanych mistrzów pędzla. Powtóre wybijają te wystawy osobne piętno na obrazach malowanych dla salonów, skłaniają one malarzy do wybierania tematów efektownych, do szukania sztuczek, mających zwrócić na nich uwagę. Nic zresztą naturalniejszego. Publiczność, przesuwająca się tysiącami po szeregach sal, obwieszonych od góry do dołu najnowszymi utworami pędzla, ni czasu nie ma, ni ochoty, do przyglądania się wszystkiemu szczegółowo, do zadawania sobie trudu szukania śladów talentu u artystów młodych, których nazwiska nie zyskały sobie dotychczas rozgłosu. Publiczność ta, pouczona przez dzienniki, przyszła tu z wytkniętym z góry planem, przyszła oglądać nową manierę Rochegrossa, porzucającego dramatyczne motywa, by w swym *Chevalier aux fleurs* cichem, poetycznem skupieniem zadziwić i olśnić; przyszła oglądać „Tryumf sztuki“ Bonnata i dziwić się, jak ten niezrównany portrecista prezydentów republiki, o surdutach poważnych i czarnych, występujących na przód z czarnego tła obrazu, pojął ową fantastyczną alegoryę; przyszła oglądać Roybeta, Benj. Constansa, Hennera, Chartrana, J. P. Laurensa, zaś w salonie *Champs de Mars*: Puvis de Chavannes, Carolusa Duran i J. Tissota itp. uznane wielkości, a na resztę patrzy obojętnie, jednym rzutem oka dziesiątki ogarniając obrazów, póki nie zatrzyma jej jakieś płótno i czemś niezwykłem nie zadziwi.

Szukają więc artyści owej niezwykłej przynęty, szukają, gdzie mogą: jedni politykę wzywają ku pomocy i malują uroczyste przyjęcia, głośne zeszłego roku, lub krwawe starcia i strejki; inni chwytają się tematów chwilowo modnych i liczne Joanny d'Arc i 21 Napoleonów pozyskać im mają życzliwych; inni posługują się w tym celu głośnymi ludźmi i przedstawiają nam p. Sardou, kierującego próbami „Madame Sans Gêne“, lub aktorów Komedyi francuskiej, gawędzących za kulisami, a są i tacy sprytni, jak p. Alonzo-Perez, co w obrazie swym „Przybycie pielgrzymów do Lourdes“ namalował jegomościa z brodą i binoklami, nad którym łamią sobie tłumy głowę, czy to Zola, czy nie.

Najwięcej jednak widzów ściąga prześliczny cykl obrazów Jamesa Tissot'a, a przedstawiający „Życie Chrystusa“. Cykl ten jest owocem długoletniej pracy, jestto objawienie artystyczne, zaczerpnięte z objawienia religijnego. Zaiste w dobie dzisiejszej rzadkiem zjawiskiem jest człowiek, który potrafił zdobyć się na nową illustracyę ewangelii, pełną głębokiego uczucia, który po najwyższych wysiłkach tylu pokoleń artystów, którzy te same opracowywali tematy z życia Chrystusa, stworzył dzieło potężne, zupełnie nowe i oryginalne. — James Tissot jest wprawdzie malarzem francuskim, wszelako długie lata żył w Anglii i rozwinął się pod wpływem szkoły angielskiej. Przejął on od Anglików rys sentymentalny, anegdotyczny i moralizujący, ucząc się od nich równocześnie cierpliwości i gruntowności. Był on już bardziej artystą angielskim aniżeli francuskim, kiedy przed laty wystawił cykl, przedstawiający legendę o synu marnotrawnym na tle dzisiejszem. Bohaterem tego cyklu był młody Anglik, trwoniący siły i pieniądze w restauracyach i kawiarniach. Nie zwrócono wówczas uwagi na ten cykl obrazów rodzajowych, pomimo, że odznaczał się oryginalnością kompozycyi i kolorytu, subtelnością obserwacyi i świeżością uczucia. Świat jednak zajęty był wówczas walką kolorystów i szarych, którzy w powietrzu upatrywali zbawienie malarstwa. Dziś przyzwyczailiśmy się już do powietrza, otulającego obrazy; co więcej spostrzegamy z żalem, że po za tą szarą, obowiązkową dziś mgłą, ulatnia się rysunek i koloryt, kompozycya i myśl, słowem wszystko, co umiały dawniejsze szkoły. Dziś gdy Tissot powrócił z Palestyny, z „Życia Chrystusa“ poznano w nim tytana sztuki.

James Tissot przebył lat sześć w Palestynie i Egipcie, studyując z pędzlem w ręku okolice, w których rozgrywały się zdarzenia opisane w ewangeliach, rysując gruzy starożytnych budowli, kostyumy i typy. Patrząc na jego obrazy, rzekłbyście, że malowane są za życia Chrystusa, tak dalece Tissot wżył się w ducha kraju i epoki. Dodajcie mistrzowską znajomość perspektywy i efektów kolorystycznych, niewyczerpane bogactwo wyobraźni i zdumiewającą intuicyę artystyczną, a zrozumiecie, że ten cykl, przedstawiający życie Chrystusa w 350 obrazach, zgodnie z opisami ewangelii, działa niemal jak wizya czarodziejska. Tissot przykuwa widza historycznie dokładnem oddaniem miejscowości, wiernością typów, wzrusza go prawdą życiową w oddawaniu zdarzeń, porywa go przytem polotem artystycznym i pięknością kompozycyi swoich.

Przedstawiając odwiedziny trzech królów u Heroda, okazuje nam Tissot wnętrze staropalestyńskiej komnaty, oświetlonej oknem o rzeźbionych, drewnianych, gęstych kratach. W przyćmionej tej atmosferze widzimy starożytne wschodnie dywany i niskie stoliki z kosztownemi naczyniami. Pyszna jest ta uroczysta, prawdziwie oryentalna postawa, w jakiej magowie przemawiają do Heroda, siedząc obok siebie na dywanie; a sam Herod, snać mocno zafrasowany tem, co mu goście obwieścili, czyni ruch, po którym od razu poznać można księcia hebrajskiego.

Ciekawszą jeszcze jest inna scena, odgrywająca się we wnętrzu sali. Tym razem widzimy komnatę rzymską, w której Piłat przyjął po raz pierwszy Chrystusa, okutego w kajdany. Przypomnijmy sobie, że przywykliśmy widzieć scenę tę odgrywającą się przed ratuszem, na otwartym tarasie. Otóż przeniesienie jej do wnętrza komnaty, zdumiewająca restytucya tego starożytnego *intérieur*, a do tego kontrast między postacią potentata a męczennika, którzy sam na sam w rozległej stoją sali, czyni wrażenie tak niezwykłe, że nie dziwimy się okrzykom, odzywającym się bez przerwy przed tym obrazem: „*C'est inouï! Celà ne ressemble en rien à ce, qu'on a déjà vu!* (To rzecz niesłychana. Czegoś podobnego jeszcześmy nie widzieli.)

Dodatnio działa restytucya wnętrza świątyni jerozolimskiej, w której kapłani rozdzierają płaszcz, na znak, że Chrystusa na śmierć skazano. Najświetniejszym atoli obrazem tej kategoryi jest odtworzenie forum jerozolimskiego *à vol d'oiseau* w chwili, gdy Chrystusowi ogłaszają wyrok. Rzekłbyś, że to fotografia.

Nie należy jednak sądzić, iżby Tissot był suchym realistą, który wielką tragedyę Pasyi okazuje w formach banalnej rzeczywistości. — Weźcie jego obraz: „Kur zapiał.“ Nic oprócz kawałka dachu, na którym kogut wyciąga szyję, zasyłając okrzyk ku niebiosom czarnym, ponurym, rzadko gwiazdami zasianym. Jaka poezya, jaka zgroza! A jaki znowu ruch potężny w postaci Judasza, ciskającego na ziemię srebrne monety, któremi nagrodzono mu zdradę!

Jaki czar mistyczny w locie sennego Chrystusa, którego ogromny duch przenosi na wierzchołek góry! A wreszcie jaka wzruszająca poezya pustyni w tej tissotowskiej „Ucieczce do Egiptu“!

Tu widzimy hebrajskiego cieślę, wiodącego za uzdę osiołka, który dźwiga jego żonę i dziecko. Pod nogami wędrowców czerwonawe piaski pustyni, obok ich drogi ogromny szkielet wielbłąda bieli się w słońcu. A w głębi, po grzbiecie piaskowego wzgórza przesuwa się daleka, drobniutka karawana.

To „Życie Chrystusa“ jest szkicem cyklu monumentalnego, który wykona może jaki Ra-

---

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.

ŚWIĘTY PTAK

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

(Ciąg dalszy).

Kekrops trzymał właśnie w ręku puhar z winem i miał go podnieść do ust, kiedy ujrzał wchodzącą niewolnicę:

— Co cię tu sprowadziło, — zawołał, — córo Eurymachosa? Czy cię Pallas Atene, modrooka bogini z nowem poselstwem do nas przysyła?

Diomedon powstał z ławy przy murze, a nie mogąc wyjść z poza stołu, nie ruszywszy wszystkich współbiesiadników, wyciągał tylko ręce do kochanki, wołając:

— Daremnie czekałem na ciebie wczoraj przy sadzawce. Czemuś nie przyszła? Przyszedł tylko ten Hebrajczyk, który we drzwiach za tobą stanął, który do mnie wówczas słowa nie przemówił i którego nie znam.

Teraz dopiero ujrzała Elpinoe Abibaala, obejrzawszy się poza siebie, a przemówiła potem:

— Ten Hebrajczyk, to Abibaal, ojciec Enocha, a prawdziwa dusza sprzysiężenia naszego, wielki rozumem i wielki wolą.

— Dotąd nam się nie pokazywał, — rzekł Danaus, — zaledwośmy zasłyszeli imię jego i coś niewyraźnego o tem, że wiele znaczy w swoim narodzie.

— On kierował wszystkiem, — rzekła na to dziewczyna, — ale teraz nie czas już na dalsze narady; trzeba czynu, natychmiast trzeba czynu!

— Do czynu! do czynu! — zawołał Kekrops, — przemawia do nas Pallas Atene!

— Czekaj, — przerwał Danaus marszcząc brwi, — nie tak wyglądała Elpinoe, kiedy bogini zamieszkała w jej piersi. Ona teraz blada i drżąca jakby przemożona ludzką trwogą; natchnienie bogów piersi jej nie rozdyma.

— Nie w imieniu bogów przemawiam do was, — rzekła Elpinoe, — bogowie teraz daleko.

— Więc czegóż do czynu wzywasz? — zagadnął Diomedon.

— Bo nie czas już na zwłokę, — odparła dziewczyna, — ktoś nas zdradził, myśmy wytropieni, Egipcyanie wiedzą wszystko i ja uszłam z domu Amenemhy, aby nie popaść w ręce katów. U was szukam ratunku. Brońcie mnie i brońcie siebie. Porwijcie za broń, zanim Faraon ściągnie swoje załogi wierne. Za dni kilka już będzie za późno.

— Ależ teraz, dziewczyno, — wtrącił Hak ogromny, — rzeczy do powstania jeszcze nie przyłagodzono. Hebrajczycy mieli dać złoto, srebro i miedź, zboże i bydło. Bez tego wszystkiego i przez trzy dni nie potrafimy prowadzić wojny, a wojna będzie na każdy sposób trwała całe miesiące.

Hak, który rozumiał po grecku, ale nie mówił tym językiem, odezwał się po egipsku, tak, że Abibaal mógł się z treści jego słów domyśleć, że Elpinoe wierząc w odkrycie spisku, wzywała Greków do natychmiastowego powstania. Po rozmowie z Hanną nie mógł ani na chwilę wątpić o tem, że obawy niewolnicy były zupełnie uzasadnione. Wysunął się tedy naprzód i w te słowa przemówił do zgromadzonych wojowników:

— Nie znacie mnie, — wodzowie narodów północnych. Jestem Abibaal, syn Benjamina, szafarz Amenemhy syna Ozortazenów, księcia na Sni i mam pewne poważanie u rodaków moich, Hebrajczyków. Ja pierwszy podałem im myśl odnowienia wojny z Egipcyanami, która się u nich i u was przyjęła, a jeśli dotąd nie przychodziłem do was, to jedynie dlatego, ponieważ dla dobra rozpoczętego dzieła chciałem pozostać w ukryciu i działać tem bezpieczniej. Ale teraz wszelkie ukrywanie stało się daremnem. Ta dziewczyna, która wam prorokowała, Elpinoe, przestrzegła mnie dziś rano, że Egipcyanie wiedzą o wszystkich zamiarach naszych, a sam przekonałem się potem niechybnie, że mówiła prawdę. Każdy krok nasz został wyśledzony, a Hanna żona Amenemhy, powtórzyła mi niemal dosłownie wszystko, cośmy dotąd robili i zamierzali. Jesteśmy wszyscy niechybnie zgubieni, jeśli będziemy czekać dłużej. Trzeba nam natychmiast chwycić za oręż i rozpocząć wojnę. Wszystkie przygotowania nie są ukończone, ale Hebrajczycy zwieźli już do Teb wiele zasobów. Oddadzą je jutro w wasze ręce, a to wystarczy na to, abyście opanowali Teby. W stolicy znajdzie się już czem dalszą prowadzić wojnę.

Barbarzyńcy słuchali z uwagą słów Abibaala. Danaus odezwał się pierwszy, kiedy Hebrajczyk skończył mówić. Rzekł:

— Mówisz, że spisek został wykryty, że Egipcyanie zostali przestrzeżeni i że zguba niezawodna czeka nas wszystkich, jeśli wybuchu nie przyśpieszymy, jeśli natychmiast nie chwycimy za broń. Może być, że zguba ciebie czeka i naród twój. Myśmy orężni, a orężny, karny i mnogi zastęp nie tak łatwo przepada; nikt się nie targnie nań lekkomyślnie; jak my na nikogo nie natrzemy, nikt nas nie będzie śmiał zaczepić. Egipcyanie ten niedoszły spisek przebaczą łatwiej, jak przebaczyli długą wojnę domową. Tak, jak nam dotąd niedowierzali, tak i nadal nie będą nam dowierzać, ale jak nas dotąd płacili, tak i nadal będą płacić.

— Mylisz się, sławny hetmanie Greków, — odparł śmiało Abibaal, — i ufasz zanadto własnemu szczęściu i sile twoich mężów. Prawda, że Egipcyanie i dotąd wam niedowierzali, ale to niedowierzanie było tylko czujnością.

— Było zdradą, — zawołał Hak przerywając — ludzi naszych ściągali pojedyńczo w zasadzki, truli zaczarowanemi napojami i zaprzęgali potem do najobrzydliwszej pracy i za to należy się zemsta.

— Tak, zemsta się należy! — zawtórowało wiele głosów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

fael przyszłości. Bo Tissot sam stworzył tylko drobne obrazki akwarelowe, a zdaje się niestety, że brak mu uzdolnienia, by przenieść kompozycyę swą w rozmiary monumentalne.

W wędrówce swej pośród tego roju różnorodnych płócien szukałem skrzętnie dzieł polskich artystów i studyowałem, jakie też wrażenie robią na publiczności tutejszej. W jednym z salonów na polach Elizejskich spostrzegłem ogromny obraz historyczny Gersona, i gniewało mnie to, że nie robi tu żadnego wrażenia, że przechodzą przed nim tłumy i okiem nań nie rzucą. Czy tłumów to winą, czy obrazu, czy obranego tematu? nie wiem. Minęła już widocznie moda wielkich historycznych płócien, siłyby Matejki trzeba, by przykuć jeszcze do nich uwagę obojętnych widzów; przeżył się tu już Brozik i przeżył Munkaczy i przed ich obrazami pustkowie, choć biją w oczy barw bogactwem. Szary Gersona obraz niknie, mimo ogromu; przechodzi przed nim publiczność, jak przed pustą ścianą, trudno zatrzymać mijających i zwracać ich uwagę na różne jego piękności. Dodać trzeba, że wisi naprzeciw „Sądu Parysa“ Gervais, olśniewającego żywością swego kolorytu. Z mniejszych obrazów portret Horowitza zwraca na się uwagę; przypatrują mu się i potakująco kiwają głowami. Wcale pokaźnie przedstawia się portret Swiejkowskiego i obrazek Roszczewskiego. U wszystkich zaś położnieść należy, że nie wzięli udziału w ogólnej pogoni za tematami efektownemi, że sztuczki nie szukali z uszczerbkiem sztuki.

W pełnej mierze odnosi się to również do artysty naszego, którego dzieło wrażenie robi tu silne, zatrzymuje przed sobą masy ciekawych, patrzących ze zdziwieniem na obraz malarza nieznanego i zdać sobie nie mogących sprawy, czem ich płótno to zatrzymuje i uderza. Nie wielkością: „Modlitwa“ Szymanowskiego, mimo 8 kwadr. metr. jest bowiem jednym z mniejszych obrazów zawieszonych w tej sali; nie oryginalnym tematem: jest to bowiem tryptyk, z lewej rozkołysany dzwon wzywa na modlitwę, z prawej samotny ołtarz, w środku wnętrze ciemne kościoła, przeszyte promieniami światła, padającemi na grupę nabożnego ludu: padli na kolana i ślą w górę modlitwę gorącą z całej piersi i całego serca lub na twarz padli ukorzeni. Staje przed tym obrazem paryżanin i dziwi się, nie widział jeszcze czegoś podobnego. Z tem samem zdziwieniem zatrzymuje się i krytyk: „Są tu może błędy — pisze „Eclair“ — ale jakiś dziwnie szczery dreszcz przechodzi przez to płótno.“ „Może to i bardzo dobre, muszę do oryginalnego tego obrazu powrócić“ — mówi „Journal des Débats“ w pierwszem swem sprawozdaniu i powraca doń w następnym artykule i chwali. „Gil Blas“ także z ogromnem wyraża się uznaniem, zachwycają się „Liberté“ i „Petit Parisien.“ „Figaro“ wspominając o obrazie Szymanowskiego, konstatuje jego wielkie powodzenie „w Niemczech;“ chwali on bowiem tylko obrazy, które wszyscy już chwalą, lub gdy ma namacalne do tego powody. W każdym razie widz z obrazu zadowolony podwójnie: tak z obrazu, jak z wrażenia, jakie sprawia.

Z artystów naszych, stale wystawiających w Salonach paryskich, którzy zdobyli sobie już tutaj takie imię, że już i „Figaro“ pochlebne tylko dla nich miewa słowa, spotykamy w dziale rzeźb p. Godebskiego, a w salonie na polu Marsowem piękny portret p. Axentowicza. Nie wystawili wyjątkowo nic pp. Reyzner, którego niecierpliwy nabywca pozbawił przyjemności popisania się swem dziełem, Stanisławski, którego małe krajobrazy, pełne nastroju i życia, licznych tu mają admiratorów, i Pilichowski, którego „Kucharz“ bardzo się zeszłego roku podobał.

†

Władysław ks. Czartoryski.

W sobotę 23 bm. o godzinie 5 po południu, zmarł w Paryżu książę Władysław Czartoryski, syn znanego z dziejów emigracyi księcia Adama Czartoryskiego i Anny z Sapiehów.

S. p. książę Władysław urodził się w Warszawie 3 lipca 1828 roku, zatem w czasie, kiedy kraj napełniało wrzenie, które w dwa lata potem rozpaliło powstanie, a i po jego upadku długo żarzyło się na emigracyi. W tej atmosferze wzrósł książę Władysław i przesiąkł poświęceniem i wiarą w rychłe odbudowanie Polski, jaka panowała wśród lepszej części emigracyi. Od dziecięctwa swego żył ks. Władysław poza granicami kraju, gdyż po upadku powstania ojciec jego wyjęty z pod amnestyi, wyjechał do Paryża, gdzie wkrótce siedziba jego, „hotel Lambert“, zasłynęła jako ognisko życia emigracyjnego.

S. p. Władysław Czartoryski był dwukrotnie żonaty; najpierw w 1855 r. z Maryą księżniczką de Vista-Alegre, córką Krystyny, królowej hiszpańskiej, po której owdowiał w 1864 r. Z tego związku jedyny syn Franciszek August, poświęcił się stanowi duchownemu i zmarł przed paru laty w zakonie Salezyanów w Turynie. Po raz drugi książę Władysław wstąpił w związek małżeński w 1872 r., zaślubiwszy Małgorzatę, księżniczkę de Bourbon-Orleans, urodzoną 16 lutego 1848 roku. Zmarła ona przeszłego roku. Z małżeństwa tego pozostało dwóch synów: Adam Ludwik, urodzony 5 listopada 1872 r. i Witold Kazimierz, urodzony 10 marca 1876 r. w Paryżu. Ster emigracyi, jaki mimo wszelkich waśni i wzajemnych obwiniań się, spoczywał w ręku księcia Adama Czartoryskiego, po jego śmierci przeszedł w ręce syna. Kiedy nadszedł krwawy rok 1863, śp. książę Władysław rozległe swe stosunki i spokrewnienie z najwyższą arystokracyą francuską wyzyskać starał się na rzecz powstania i przez długi czas, niemal do samego upadku walki łudził się, że mu się uda pozyskać dla sprawy polskiej cesarza Napoleona III i skłonić go do zbrojnej interwencyi.

Widząc, jak się jego nadzieje rozwiały, kiedy powstanie upadło niepowrotnie, zawiedziony książę Władysław nie opuścił rąk, lecz w głębokiem poczuciu obowiązków zwrócił się na inną drogę pracy. Rozbitkom, którzy się po pogromie schronili do Francyi, ile możności ułatwiał byt i gorliwie się poświęcił sprawom licznych instytucyi emigracyjnych, a dzieje Towarzystwa historycznego w Paryżu, szkoły polskiej w Batignolles, instytucyi „czci i chleba“ i wielu innych, ściśle są z jego imieniem związane.

Po roku 1866, kiedy stosunki się zmieniły o tyle, że pod rządem austryackim zapanowała większa swoboda i możność rozwoju narodowego, książę Władysław rozszerzył swą już nie wojenną, ale cichą i skrzętną pracę także i na kraj nasz i w Krakowie ze zbiorów puławskich utworzył słynne Muzeum Czartoryskich, skarb niewyczerpany dla nauki, a wspaniały pomnik dla założyciela.

Wiedząc doskonale, jak zaznajomienie się z obcymi stosunkami rozszerza i pogłębia zarazem pogląd na świat, ufundował stypendyum dla młodzieży polskiej dla umożliwienia zdolnym młodzieńcom uzupełnienia studyów uniwersyteckich we Fryburgu. To tylko niektóre szczegóły z szeregu jego zasług.

Najserdeczniejszą troskliwością otaczał zmarły Muzeum Czartoryskich, a dla utrwalenia i ufundowania jego bytu postanowił utworzyć fideikomis czyli majorat, o którym niedawno temu obszerna była w *Przeglądzie* wiadomość. Zanim ta sprawa zadecydowaną została przez austryacką Radę państwa, umarł twórca tego projektu.

Sprawa zatem majoratu książąt Czartoryskich pozostaje w zawieszeniu, a wykonaniu jej mogą stanąć na przeszkodzie poważne trudności prawne. Książę Władysław umarł podobno bez testamentu, zachodzą więc dwie ewentualności: albo akt fundacyjny można uważać za ostatnią wolę zmarłego, albo mu tego znaczenia nie przypisywać. W pierwszym wypadku Rada państwa może bez przeszkody przystąpić do przyjęcia ustawy o ordynacyi książąt Czartoryskich, w przeciwnym majątek wedle prawa przechodzi na własność synów, a chociaż nikt nie wątpi, że nie zawahaliby się oni w wypełnieniu najgorętszego życzenia ojca i sami poczyniliby kroki o utworzenie majoratu ze spadku po nim, to jednak sprawa ta musiałaby pójść w odwłokę, ponieważ obaj są małoletnimi: starszy Adam Ludwik dopiero w listopadzie b. r. skończy 22 lat, a młodszy, na którego także część majątku przeznaczonego na majorat przypadłaby, sześć jeszcze lat na pełnoletność czekać musi, a do tego czasu o majątku swym decydować nie mogą.

Stosunki handlowe z Australią.

W ostatnim numerze *Przeglądu emigracyjnego*, p. A. Lewandowski, mieszkający w Waihopo Bay of-Ylands, zamieścił artykuł, w którym omawia możliwość eksportowania wyrobów galicyjskich do Australii. Najpierw zaś udowadnia, jak wogóle eksport do Australii jest korzystnym i że Australia bardzo wiele i bardzo długo jeszcze z zagranicy sprowadzać musi. Cała jej bowiem miejscowa produkcya chociaż stanowiąca bogactwa nieprzebrane, polega niemal wyłącznie na kopalniach i wypasaniu bydła, a zarówno rolnictwo, jak kiełkujący dopiero przemysł wystarczyć mogą na drobną tylko cząstkę potrzeb miejscowej ludności. Gdyby nawet później rolnictwo i przemysł w Australii się rozwinęły, to eksport nasz skoroby się tam raz ugruntował, na długie jeszcze lata miałby pewny rynek zbytu.

Rękojmią zaś powodzenia powinna być oprócz naturalnie dobroci naszych wyrobów, zamożność ludności australskiej, która potrzebuje wiele, na wiele może sobie pozwolić, a za wszystko płaci dobrze i punktualnie. Jak dużo Australia rocznie potrzebuje, dowodem jest to, że mając tylko 4 miliony ludności, pochłania 2/3 rocznego eksportu angielskiego, podczas gdy Indye, sprowadzające także wszystko z Anglii, chociaż mają 290 milionów ludności, nawet pozostałej 1/3 angielskiego eksportu opłacić nie zdołają i oprócz Indyi rozdziela się ona na wszystkie inne kraje świata.

Ogółem sprowadza Australia obcych towarów za 59 milionów 110 tysięcy 741 funtów szterlingów, co na austryackie pieniądze wynosi około 803,864.452 złr.!

Eksport zaś z Australii, t. j. wywóz produktów kopalnianych, wełny, mięsa, owoców, trzciny cukrowej i t. p. wynosi 64,309.157 funtów szterlingów rocznie, a zatem nadwyżka jego nad importem oznacza, że miejscowe rolnictwo i przemysł są w stanie wyprodukować rocznie zaledwo za 5,198.741 funtów szterlingów. Jakżeż więc daleko do tej chwili, kiedy Australia nic sprowadzać nie będzie potrzebowała! Dalej udowadnia p. Lewandowski, że w olbrzymim tym eksporcie do Australii i dla nas znalazłoby się korzystne miejsce i tak między innemi pisze:

„Głównym dostawcą jest naturalnie Anglia. Drugie z rzędu stanowisko zajmują Niemcy, którzy po Anglikach największą rozwijają energię w eksportowaniu swych towarów i wyrabianiu im stałego zbytu. Wyroby niemieckie walczą o lepsze z angielskimi pod każdym względem; a gdzie dorównać nie mogą jakością, tam stanowczo zdobywają sobie zbyt niskością ceny.

„Cena pracy angielskiego robotnika, jakkolwiek sama przez się dość nizka, jest stanowczo wyższa od ceny w Niemczech, za czem idzie wyższa cena angielskich towarów, które, o ile nie są istotnie lepszymi od niemieckich, w walce konkurencyjnej z nimi upaść muszą, jako pobite niższą ceną.

„Okoliczność ta jest dosyć ważną. Wzięta na uwagę przez tych, co mogą mieć zamiary wprowadzania naszych wyrobów do Australii, może znacznie drogę im ułatwić, służąc za dowód, że ceny niemieckie, jako najniższe, muszą służyć za normę, do uregulowania cen nakładanych. U nas, a zwłaszcza w Galicyi, cena pracy nietylko nie jest wyższą od niemieckiej, ale o ile nie jest równą, jest chyba niższą. Ceny zatem mogłyby być nie tylko te same, ale nawet niższe. Dawniej w Australii kierowano się patryotyzmem i kupowano tylko wyroby angielskie. Z czasem jednak klimatyczna różnica a następnie pewna niezależność młodej generacyi stała się przyczyną zupełnego zobojętnienia na „patryotyczne“ wyroby angielskie. Kolonista woli, co tanie, ale nie co angielskie, i w niektórych tylko razach przyznaje wyższość angielskim wyrobom. Z tej zatem strony nie trzeba się obawiać trudności żadnej. Wiele produktów naszych i wyrobów znalazłoby zbyt tutaj. Być bardzo może, że wiele z nich już dzisiaj tu przybywa, ale pod niemiecką lub angielską marką. Co do niektórych, to niema wątpliwości, że od nas do Anglii lub Niemiec, a stamtąd do Australii się dostają. np. *szczecina*. Angielska trzoda szczeciny nie posiada, podczas gdy nasze świnie mają szczeć doskonałą. Detalicznie skupowana szczecina idzie zatem do Niemiec lub Anglii.

„O ile mi wiadomo, a raczej o ile mię zapewniano, gdy w r. 1892 zasięgałem w tym względzie wiadomości, u nas nie było w tym czasie nigdzie maszyny do sortowania szczeciny. Po przesortowaniu zatem w Anglii lub Niemczech, do Australii się dostaje, gdzie w wielu razach pod nazwą „rosyjska“ jest sprzedawana po cenie od 2 do 25, a nawet 30 szylingów (18 złr.) za funt stosownie do gatunku.

„*Puch*, również nazwę „rosyjski“ noszący, jest zbywany po cenie od 10 do 15 szylingów za funt, co porównawszy z ceną, za jaką w kraju nabytym być może, po odtrąceniu opakowania, transportu i komisowego (cła w Australii nie płaci się) sprzedany nawet po 6 lub 7 szylingów (4 złr. 20 ct.) hurtownie, dałby wyborny zarobek.

„Bez wątpienia wyroby szewskie, tyle razy na front wysuwane, kiedy mowa o handlu zagranicą, i w tym razie poważne stanowisko zająćby mogły.

„W Sydney, Melbourne, Adelaide, Brisbane a w Nowej Zelandii: w Auckland i Welington, znajduje się wprawdzie po kilka fabryk obuwia, są one jednak niczem w porównaniu do ogólnych potrzeb i wymagań. Jedynie do pewnego stopnia zaspakajają one potrzeby co do żądań ordynarniejszych wyrobów, za to obuwie eleganckie jest stanowczo sprowadzane z Anglii, Niemiec lub Austryi; wiedeńskie zajmuje pierwszorzędne stanowisko i jest sprzedawane po cenie od 15 do 25 szyl. i wyżej za parę (od 9 złr. do 15 złr.) Wyroby liche i ordynarne, obliczane przeważnie na klasę roboczą, maszynowej roboty, sprzedają się po cenie 5 do 10 i 12 szylingów (od 3 złr. do 6 i 7·20) Obuwie więc naszego wyrobu, jako odznaczające się dobrym materyałem, elegancką i trwałą robotą, oraz niższą ceną, wszedłszy raz na tutejszy rynek stanowczo na nim utrzymać by się mogło.

„Mówiąc o obuwiu, niepodobna pominąć skór. Pomimo dość silnie rozwiniętej hodowli bydła, a co za tem idzie i obfitości skór na miejscu, są one w 4/5 wypadkach importowane. Garbarnie australskie pozostawiają tak wiele do życzenia, że miejscowa skóra tylko na lichsze wyroby jest zwykle używana, podczas gdy lepsze, o ile nie są gotowe sprowadzane, z zagranicznego materyału się robią. Na podeszwy amerykańska a następnie angielska skóra ma największy zbyt. Skóry więc surowe idą do Anglii, skąd powracają gotowe do wyrobu. Wogóle przekonanie Australczyków, że skóra na miejscu nie może być dobrze garbowaną, jest tak silnie zakorzenionem, że jak mię jeden z garbarzy zapewniał, przeszło już w uprzedzenie, które na razie, nie mogąc być zwalczonem, musi być ominiętem. W niektórych razach więc, skóry już garbowane są wysyłane do Europy, a przywiezione napowrót, jako zagraniczne się sprzedają.

„Jest to zatem operacya handlowa bardzo podobna do tej, za pomocą której, pewne oleje galicyjskie, wywiezione za granicę, powracają stamtąd już jako amerykańskie, i jako takie są kupowane, o czem w jednym z dawniejszych numerów „Przegląd Emigracyjny“ wspomina. Ogólnie jednak wyrażane życzenie, posiadania dobrych garbarni na miejscu zdaje się być pewną gwarancyą, że dobry garbarz z małym kapitałem miałby niezłe powodzenie.

„Skóry garbowane na żółto, a używane na wyrób letniego obuwia, po większej części są sprowadzane z Rosyi przez Londyn. Pominąwszy pośrednictwo Londynu, zatem i na tym artykule możnaby zarabiać.

„Lat temu kilka, Jan hr. Łubieński założył małą garbarnię do spółki z Anglikiem, około Sydney, mając głównie na celu przerabianie skór baranich na delikatne kolorowe safiany sposobem rosyjskim, co jak mię zapewniał, miało przedstawiać znaczne zyski. Po krótkiej egzystencyi jednak zakład ten upadł, dla braku odpowiedniego kapitału.

„Wódki i likiery, mimo wysokiego cła, mogłyby śmiało walczyć z wyrobami niemieckimi, jak również austryackie cygara i rosyjskie tytonie i papierosy. Zwłaszcza papierosy miałyby niezłe powodzenie, o ile sposób fabrykacyi ich byłby zastosowanym do miejscowych wymagań.

„Na tem polu również robiono próby. W r. 1890 Wróblewski, mający podówczas skład olejów mineralnych galicyjskich, sprowadził kilka tysięcy sztuk papierosów z Warszawy. Niedbale opakowane przez wysyłającą firmę doszły one do Sydney w na pół zgniłym stanie, i choć część pewną po przebraniu i osuszeniu zbyto za pół ceny, nie można tego uważać wszakże za próbę.

„W kilka miesięcy później, wspomniany powyżej Łubieński sprowadził 10.000 papierosów również z Warszawy, ale niestety — doszły do Sydney w zupełnie tym samym stanie, jak i poprzednie, i z takim samym rezultatem sprzedano je. O ile jednak zasięgałem wiadomości od pierwszorzędnych importerów, w Sydney i Nowej Zelandyi tytonie rosyjskie miałyby powodzenie stanowczo i cenę od 4 szylingów i wyżej, zawsze przyniośćby mogły za setkę.

„Tenże sam Wróblewski sprowadził jedną czy dwie bryczki, o ile mnie się zdaje, krakowskiego wyrobu. Nie zastosowane jednak do wymagań miejscowych, zbytu wcale znaleźć nie mogły. Próby te, o ile mi wiadomo, były jedynemi, podjętemi w celu wprowadzenia polskiego handlu i przemysłu. Jeżeli nie znalazły powodzenia, to tylko ze względu na warunki i towarzyszące okoliczności, już same przez się wystarczające, aby niewytrwałych zniechęcić do podejmowania nowych zabiegów. W normalnych jednak warunkach tak handel, jak i przemysł nasz miałby zupełnie te same szanse powodzenia, jak i innych narodowości. Co się powiedziało o Australii w zupełności do Nowej Zelandyi stosować można.

„Kolonia ta licząca 600.000 ludności, importuje blisko za 7 milionów funt. sterl. rocznie, a jakkolwiek export wynosi przeszło 9 milionów, to po odjęciu wełny o wartości 4,313.307 funt. sterl., a następnie Kauri-Gum, Phormium, mrożonego mięsa, drzewa itd. na przemysł fabryczny nie pozostanie wiele. Obuwia i skór wchodzi do kolonii za 170.000 funt. sterl. rocznie, tytoniowych wyrobów za 121.664 funt. sterl; olejów mineralnych za 120.000 funt. sterl; wódek i likierów za 200.000 funt. sterl.; kapeluszy i czapek za 64.000 funt. sterl., wyrobów płóciennych za 53.000 funt. sterl., ubrań za 357.904 itd. Stosunki handlowe Nowej Zelandyi rozciągają się do 32 krajów, w pośród których Austrya figuruje z sumą 367 funt. sterl., otrzymanych za wysłane towary, podczas gdy Niemcy wykazują 90.000 funt. sterl. za rok ubiegły. Ta dziwnie skromna austryacka cyfra, zwłaszcza zestawiona z niemiecką, daje nie bardzo pochlebne pojęcie o handlowej energii Austryaków. Wziąwszy na uwagę tę okoliczność z wielu innemi, przyznać chyba trzeba, że w Australii i na tej małej kolonii niezłe zarabiać by można.

„W zamian kolonie mogłyby dostarczyć kupcom naszym i fabrykantom wiele produktów i towarów, z których znaczna ilość i tak wstęp do kraju znajduje za pośrednictwem kilku rąk innych.

„Agentura chociażby tylko na bezpośrednie nabywanie wełny na miejscu, przedstawiałaby niezłe pole dochodów. Trudność jednak leży w tem, że tak urządzenie, jej, jak i podtrzymanie zależałoby w zupełności, albo od specyalnie w tym celu utworzonego syndykatu albo od zbiorowych pełną znaczniejszą sumę przedstawiających fabrykantów. Od tych ostatnich zatem i kapitalistów należy oczekiwać inicyatywy i poparcia. Skóry bydlęce, owcze, królicze, których sama Nowa Zelandya wysyła rocznie około 16 miljonów sztuk i inne, zasługują na ścisłą uwagę.

„Drzewa do ornamentowych wyrobów, jak również i inne gatunki, z przyczyny wytrzymałości i wielkiej giętkości, mogące się doskonale nadać do wyrobów giętych mebli, zaczynają w ostatnich czasach zwracać baczniejszą uwagę na siebie, jak i wiele innych produktów, które przy bliższem i obszerniejszem zbadaniu tej kwestyi, niewątpliwieby się znalazły, jako mogące znaleźć korzystny zbyt u nas.

„Tyle co do handlowych stosunków z australskiemi koloniami. Wiadomości podane są luźne, swobodne, brak czasu bowiem nie pozwala mi na tak obszerne i wyczerpujące traktowanie tego przedmiotu, na jakie istotnie zasługuje, ze względu na ważne stanowisko, jakie mógłby w handlowem życiu naszem zająć. Pozwalam sobie jednak przypuszczać, że w każdym razie powiedziano dosyć, aby uwagę naszych „business-manów“ (to znaczy geszefciarzy) ku tej stronie kuli ziemskiej zwrócić.“

Gdybym był milionerem...

Ilekroć dowiaduję się o testamentowym zapisie na cele dobroczynne jakiego szlachetnego filantropa, zawsze nasuwa mi się pytanie: dlaczego człowiek ten za życia pozbawił się dobrowolnie rozkoszy, jaką daje nietylko czyn zamierzony w dobrej intencyi, ale i przeświadczenie naoczne o pożądanych czynu tego skutkach, zadowolnienie ze spełnienia zamiarów, w pewnym dobrym celu powziętych? dlaczego zrzekł się osobistego czuwania lub choćby tylko oglądania, jak obdarowana, czy ufundowana przezeń instytucya korzystać będzie z ofiarowanych pieniędzy, jak i o ile ściśle uszanowaną została jego wola, chociaż nie ostatnia?

Rozumiem, że człowiek jeszcze nie stary, a już bogaty, wobec niepewności losów ludzkich, nie chce się zbyt wcześnie wyzuwać ze znaczniejszej części swego majątku, bo nie wie, co go jeszcze w życiu spotkać może. Ale ludzie wiekowi, rozkoszy materyalnych świata tego syci, a w myśli swej pielęgnujący podniosły ideał dobra publicznego, dlaczego ci, ze swoją świeczką, jaką na ołtarzu tego dobra postawić zamierzają, wstrzymują się aż do chwili, gdy przy ich trumnie pogrzebowe zapłoną gromnice, albo nawet, gdy na ich grobach trawa już porośnie?

Wszak wdzięczność współziomków i dobre wspomnienie otoczą ich imię i wówczas, a nawet tem pewniej, gdy za życia nietylko zbywającą częścią swych zasobów, ale i czynnym swym współudziałem przysporzą społeczeństwu dóbr materyalnych lub idealnych.

Są wprawdzie filantropi, co za życia chętnie spieszą z każdą ofiarą, co wydatki na cele publiczne, jako stałą pozycyę do budżetów swoich wprowadzili. Ale o ileż częściej się zdarza, że ktoś, posiadający więcej, aniżeli dla siebie potrzebuje, lub, niż dla rodziny swojej przeznaczył, czyni zapis testamentowy, wykonalny dopiero po śmierci, a potem długie jeszcze żyjąc lata, wykonanie swych zamiarów odracza. Czyż nie przykrą mu być powinna myśl, że społeczeństwo traci na przedłużającem się jego życiu, że wcześniejsza śmierć jego wcześniej też wskazane przezeń cele osiągnąć pozwoli?

A jakże to często się zdarza, że wola ostatnia, nad wykonaniem której sam dobroczyńca czuwać już nie może, zostaje w niwecz obróconą, wskutek jakiejś nieformalności lub złej woli chciwych sukcesorów? Gdyby był swym majątkiem rozporządził za życia, mógłby był zamiary swe zmieniać względnie do okoliczności, ofiarę swoją cofnąć z jednej, a na inną skierować drogę i umierałby widząc rezultaty swej pracy i ofiarności. Nawet osobiste legaty na rzecz najbliższych, mógłby zmieniać, poprawiać i uzupełniać, stosownie do potrzeby i zasługi.

Więc gdybym był milionerem (na co się bynajmniej nie zanosi), gdyby krewni moi nie potrzebowali na spadek po mnie się oglądać i gdybym wytrwał podówczas (za co nie ręczę) w idealizmie, jakiemu mi dziś tak łatwo hołdować, zdaje mi się, żebym owoców tego idealizmu nie pozwolił szczepić egzekutorom mego testamentu. Sambym wybrał płonkę owocową, sambym skopał ziemię, sambym podlewał i pielęgnował przez siebie zasadzone drzewko, liczyłbym każdy nowy listek, pączek i zawiązek, a może doczekałbym się i skosztował owoców.

Gdybym postanowił ufundować Dom Boży, z jakąż rozkoszą śledziłbym murarzy, dokładających każdą nową cegłę, jak niecierpliwość moja wyprzedzałaby ich pośpiech, jak wdzięczność moja za doznane zadowolnienie wzbijałaby się od kamiennej posadzki ponad najwyższe sklepienia.

Gdybym choć o kilka łóżek wzbogacił szpitale, sprawdzałbym każdą ulgę, jakiej doznają chorzy, a każdego ocalonego od śmierci za krewnegobym poczytał.

Gdybym miał ambicyę upiększenia rodzinnego miasta, sambym wytykał nowe ulice, planował nowe gmachy i dzielnice, zakładał ogrody.

Gdybym ustanowił stypendyum, uczyłbym się razem z moim stypendystą, razem z nim drżałbym w czasie egzaminów, razem z nim płatał figle młodości i przechodził na nowo wszystkie fazy życia od młodzieńczych porywów do męskiej równowagi.

Gdybym popierał uczoną instytucyę, zanudzałbym profesorów po pracowniach, kręciłbym korbą od maszyny i sam kolportował nowe wydawnictwa.

Gdybym był protektorem sztuk pięknych, pomagałbym malarzom wyszukiwać modelki, razem z nimi szydziłbym z klasyków i akademii, udawałbym, że rozumiem dekadentów i symbolistów, ba, starałbym się nawet pogodzić aktorów i reżyserów.

Gdybym — dziennikarz niepoprawny — jeszcze raz założył pismo, jużbym teraz wiedział, jak go redagować — nie należy.

I nie pozwoliłbym przecież, aby moje w niem współpracownictwo ograniczało się na dostarczaniu treści do pięknego nekrologu.

Gdybym był milionerem, jakże pilnie i jakże inaczej śledziłbym wszystkie publiczne potrzeby, zaspakajanie których rozbija się zazwyczaj o brak pieniędzy i inicyatywy czynnej. Nie obiecywałbym ich „po najdłuższem życiu“ i nie dopuściłbym, aby po mojej śmierci nieużyte produkcyjnie miliony wydzierali moim legataryuszom adwokaci i komornicy.

A rozdawszy w końcu „ciepłą ręką“ resztę dóbr doczesnych, ułatwiłbym sobie przejście przez ewangieliczne ucho igielne.

Na nieszczęście, nie jestem i (prawdopodobnie) nie będę milionerem, a na szczęście posiadam sukcesorów w linii prostej, którzy o sukcesyę po mnie z pewnością kłócić się nie będą.

Zostawię im w testamencie następującą maksymę: „Co chcesz, aby zrobiono po twojej śmierci, zrób sam za życia“.

Z wystawy.

Minister rolnictwa p. Falkenhayn dał wczoraj śniadanie dla hodowców bydła rogatego. O wystawie bydła wyrażał się p. minister jak najpochlebniej, rzekł, iż widzi, że kraj poczynił postępy w kierunku podniesienia chowu bydła i że subwencye państwowe nie idą na marne.

Podczas śniadania, do którego zasiadło 20 osób, zabrał głos p. minister i przemówił w te słowa: Cieszę się bardzo, iż mogę skonstatować, że Galicya znakomity postęp zrobiła na polu hodowli bydła i że bliżej poznałem mężów, którzy pracują dzielnie dla dobra kraju. Uznając pracę piję na pomyślność tego kraju i jego obywateli. Na toast ten odpowiedział Marszałek krajowy ks. Sanguszko. Podniósł, iż do rozwoju hodowli bydła przyczyniła się wielce wybitna pomoc państwa i ministra hr. Falkenhayna, który zawsze jak najżyczliwiej popierał usiłowania naszego kraju. Przemówienie swe zakończył książę Marszałek toastem na cześć ministra.

Po śniadaniu zwiedził p. minister wystawę etnograficzną, pawilon pracy kobiet, ruski, ks. Sanguszki, łowiecki i leśnictwa. O godzinie 4-tej w towarzystwie pp. Zaleskiego i St. hr. Badeniego opuścił wystawę i udał się na obiad do hr. Siemieńskiego. Dziś przybył na wystawę o godzinie 10 rano, zwiedził rządowy pawilon domen i lasów, a następnie był na śniadaniu u ks. Sapiehy. Po południu pojedzie do Dubian, następnie będzie na obiedzie u hr. St. Badeniego, wieczorem zaś odjedzie do Wiednia.

* * *

W piątek 29 b. m. zaczyna się zjazd sokoli i ćwiczenia gimnastyczne Sokołów na boisku na placu wystawowym. W ćwiczeniach weźmie udział 1200 Sokołów.

* * *

W piątek dnia 29 b. m. odbędzie się w hali muzycznej koncert „Lutni,“ zaś dnia 8 lipca koncert „Echa,“ na którym wykonane będą po raz pierwszy oryginalne utwory Münchheimera, Noskowskiego i Stolla, nagrodzone w zeszłym miesiącu na konkursie „Echa“.

* * *

Pierwszy kongres pedagogów polskich odbędzie się w dniach 16, 17 i 18 lipca we Lwowie. Dotąd zgłoszono już 42 referaty. z zakresu pedagogiki i dydaktyki. Karty uczestnictwa rozdaje prof. Sołtysik (Lwów, ul. Cłowa l. 2).

* * *

Dziś rozpoczyna się wystawa róż. Nie jest ona jeszcze gotową. Dotychczas przysłali swe okazy pp. Jan Klimowicz i Stark, ogrodnicy ze Lwowa, Konstanty Pierożyński hodowca-amator, Ogród Krasiczyński i Ludwik Schneider, ogrodnik ze Stanisławowa.

* * *

Dziś na placu wystawy w restauracyi Drehera, odbyło się śniadanie, dane przez hodowców bydła na cześć jurorów tego działu i komitetu, który się zajął urządzeniem wystawy bydła rogatego.

* * *

Wczoraj zwiedziło wystawę 3918 osób, panoramę 417, pałac sztuki 462, pawilon Matejki 349 osób.

Zamordowanie Carnota.

(*Telegram „Przeglądu“*).

Lyon 26 czerwca. Wdowa Carnota przybyła tu wczoraj o 7 rano osobnym pociągiem. Zwłoki zamordowanego prezydenta leżą w salonie prefektury; dwie zakonnice klęczą przy nich i odprawiają modlitwy. Wzburzenie między ludnością nie ustaje. Ubiegłej nocy splądrowano lokal włoskiego towarzystwa muzycznego i kilka szynkowni włoskich. Dotychczas udało się policyi nie dopuścić do znieważenia flagi włoskiej i herbu, umieszczonego na gmachu konsulatu włoskiego. Silny oddział policyi dniem i nocą stoi przed tym gmachem. Aresztowano przeszło 60 demonstrantów. W kilku punktach miasta wzniecono pożary w zakładach przemysłowych, będących własnością Włochów. Policya upomina tłumy, aby zaniechały wybryków, na co jej odpowiadają: „Chcemy pomścić Carnota.“

Morderca nie chce przed sędzią śledczym poczynić żadnych zeznań i oświadczył, że to, co ma do powiedzenia, powie dopiero na rozprawie przed sędziami przysięgłymi. Sztylet, którym zamordował prezydenta jest dość kosztowny i ma na rękojeści pozłacaną gałkę. W kieszeni ubrania mordercy znaleziono aksamitne etui do tego sztyletu. Ludzie, którzy widzieli, jak morderca wskoczył do powozu prezydenta, opowiadają, iż myśleli, że to jakiś suplikant chce wręczyć swą prośbę. Wnet jednakże poznali całą grozę sytuacyi. Zbrodniarz bowiem z piorunującą szybkością chwycił prezydenta za gardło, mignął sztyletem w powietrzu i pchnął z całej siły wołając: „Ecco“ (Oto).

Wszystko to było dziełem jednej chwili. Prefekt Rivaux, jadący obok Carnota spostrzegł krew, broczącą pierś prezydenta, uderzył więc pięścią zbrodniarza w nos. Morderca stoczył się na ziemię i chciał uciec, ale ludzie tworzący szpaler wzdłuż ulicy, obalili go i byliby zabili, gdyby pluton kirasyerów, jadący za karetą nie wziął go pomiędzy siebie i w ten sposób nie ochronił od doraźnej egzekucyi. W chwili, gdy prezydent otrzymał cios śmiertelny, miasto gorzało w morzu światła, gdyż z powodu otwarcia wystawy urządzono iluminacyę. Zwolna krok za krokiem ruszył powóz z ciężko rannym Carnotem do prefektury, w oknach domów tymczasem, na wieść o tym wypadku, poczęto gasić światła. Kilkunastu lekarzy zwieziono w okamgnieniu do prefektury. Aby znaleźć zranione miejsce na wątrobie musieli lekarze rozszerzyć otwór rany. Carnot

na pół omdlały jęczał: „Boże, Boże! co za ból okropny. Jak ja cierpię. Żeby to się raz już skończyło“. Rana, zadana sztyletem miała 8 centimetrów głębokości. O północy przybył arcybiskup lyoński z wikarym udzielić umierającemu prezydentowi wijatyku. Carnot zobaczywszy arcybiskupa, rzekł cichym głosem: „Ze mną już koniec“. Na kilka minut przed śmiercią, rzekł do stojącego przy łożu dr. Puzet'a: „Szczęśliwy jestem, że pan jesteś przy mnie“. Były to jego ostatnie słowa. Skonał o trzy kwadranse na 1-szą w nocy.

Wczoraj z pierwszym brzaskiem dnia wywieszono na wszystkich gmachach publicznych chorągwie żałobne. Syn Carnota, zobaczywszy pierwszą chorągiew żałobną, zemdlał.

Morderca, Cesare Giovanni Santo, pochodzi z Motta Visconti, w prowincyi medyolańskiej, jest czeladnikiem piekarskim i znanym był jako niebezpieczny anarchista. Jest on synem niejakiej Maryi Broglio i Antonia Caserio. Do sekty anarchistów przyłączył się on w roku 1892 i chciał razem z dwoma innymi anarchistami wydawać pismo anarchistyczne. Aż do końca ubiegłego roku nie spuszczała go policya z oka. W sobotę znajdował się jeszcze w Cette, gdzie przez 8 miesięcy pracował u piekarza nazwiskiem Viala. W sobotę otrzymawszy od pracodawcy 80 franków, pożegnał się z nim i pojechał do Vienne, a ztamtąd w niedzielę rano przybył do Lyonu.

Aresztowano tu także pewnego pomocnika fryzyerskiego, który jeszcze na kilka dni przed zamachem miał opowiadać, że Carnot zostanie zasztyletowany.

Paryż 26 czerwca. Zwłoki Carnota przywieziono tu tej nocy i złożono w pałacu elizejskim. Senat i izba deputowanych odbyły wczoraj posiedzenia. Prezydenci obu tych izb odczytali pismo prezesa gabinetu p. Dupuy, zawiadamiające o śmierci Carnota, poczem w gorących słowach skreślili żałobę, jaka okryła Francyę z powodu śmierci najlepszego jej obywatela. Prezes senatu zawiadomił, że we środę w południe zbierze się kongres w Wersalu celem dokonania wyboru nowego prezydenta i wyraził nadzieję, że kongres ten przez swą zimną krew i rozwagę złoży dowód, że zaufanie w trwałość instytucyi dzisiejszych jest niewzruszone. Po przemowach prezesów zamknięto posiedzenie na znak żałoby.

Rada ministrów urzęduje w permanencyi. Wdowa po zmarłym i prezes gabinetu otrzymują zewsząd mnóstwo depesz i pism kondolencyjnych. Bardzo serdeczny telegram kondolencyjny otrzymała pani Carnot od cesarza niemieckiego. Ludność zachowuje się spokojnie. Dotychczas nie było żadnych anti-włoskich demonstracyi.

Rzym 26 czerwca. Wczorajsze posiedzenie izby deputowanych miało nastrój bardzo poważny. Gdy prezes otworzył obrady, wszedł na trybunę Crispi i zawiadomił izbę o zamordowaniu Carnota. Niestety — rzekł Crispi — morderca jest rodowitym Włochem, jednakże anarchiści nie mają żadnej ojczyzny i tak samo jak oni jej się wyrzekają, tak samo i ojczyzna ich się wyrzeka. Następnie zawiadomił Crispi, że król i rząd wysłali depesze kondolencyjne do wdowy po Carnocie i do rządu francuskiego i wezwał izbę, aby na znak żałoby zamknęła posiedzenie. Po p. Crispim przemówił prezes izby i wyraził wielką boleść, jaką odczuwa parlament z powodu tej ohydnej zbrodni, która także dla Włoch jest wypadkiem żałobnym. Następnie sławił prezydent cnoty Carnota, który był jakoby łącznikiem sympatyi i zgody między Francyą a Włochami. Izba jednomyślnie uchwaliła zawiesić posiedzenie na znak żałoby i upoważniła swe prezydyum do wyrażenia reprezentacyi narodu francuskiego boleści i współczucia. Taką samą uchwałę powziął senat. Po posiedzeniu udali się wszyscy ministrowie, deputowani i senatorowie do gmachu ambasady francuskiej i wpisali tam swe nazwiska. Na znak żałoby zamknięto wczoraj giełdy w Rzymie, Medyolanie, Florencyi i Turynie, a na wszystkich gmachach publicznych wywieszono żałobne flagi.

Wszystkie pisma wydały osobne dodatki i potępiają jak najżywiej nikczemną tę zbrodnię.

Berlin 26 czerwca. Wszystkie pisma tutejsze wypowiadają swój żal z powodu śmierci Carnota, i jak najsympatyczniej wyrażają się o osobie zamordowanego prezydenta, podnosząc jego zasługi około skonsolidowania Francyi. Mówią, że książę Fryderyk Leopold pojedzie do Paryża reprezentować cesarza na pogrzebie.

Między gabinetami trójprzymierza odbywała się wczoraj przez cały dzień żywa wymiana depesz.

Wiedeń 26 czerwca. Kondolencya, którą jeneralny adjutant br. Paar imieniem Cesarza złożył wczoraj ambasadorowi francuskiemu, w sposób nader serdeczny daje wyraz współczucia, jakie Monarcha z powodu tego okropnego czynu żywi dla Francyi i dla rodziny zmarłego prezydenta.

Hr. Kalnoky złożył wczoraj wizytę p. Lozému i imieniem rządu wyraził mu najwyższe oburzenie z powodu tego nikczemnego czynu i szczere współczucie z powodu śmierci zasłużonego zwierzchnika państwa, który także w Austro-Węgrzech zażywał powszechnego szacunku.

Dzienniki donoszą, że Cesarz własnoręcznie napisał telegramy kondolencyjne do prezesa ministrów francuskich p. Dupuy i do wdowy po Carnocie.

Mnóstwo osób składało wczoraj przez cały dzień kondolencyę swą ambasadorowi francuskiemu. Między innymi składał kondolencyę także prezes gabinetu ks. Windischgraetz.

Wiener Abendpost, donosząc o zamachu, zaznacza, że zbrodnia ta wywołała w całych Austro-Węgrzech najwyższe oburzenie i szczere współczucie dla Francyi. Zbrodnia ta jest strasznem ogniwem całego szeregu dotychczasowych zamachów anarchistycznych i powinna niezawodnie przyczynić się do tego, że sfery decydujące z dotychczasowego stadyum dyskusyi nad środkami, za pomocą których należałoby położyć koniec propagandzie anarchistycznej, przejdą do decyzyi i do energicznego działania.

Rzym 26 czerwca. Depesza, którą król Humbert wysłał do francuskiego ministra prezydenta p. Dupuy brzmi następująco:

„Do prezydenta francuskiej rady w Lyonie. Oburzający czyn, który pozbawił Francyę jej najwyższego kierownika, którego osoba cieszyła się powszechnym szacunkiem i sympatyą, dotknął najgłębsze uczucia mego serca. Dzień, który dotąd poświęcony był pamięci wspólnej sławy obu narodów, zamienił się w dzień wspólnej żałoby. Humbert.“

Do wdowy pani Carnot telegrafował król Humbert:

„Excelencya pani Carnot w Lyonie. Cios, który ugodził małżonka pani, dotknął zarazem serce moje i serce królowy głęboką boleścią. Włochy są tak samo jak Francya oburzone spełnioną zbrodnią i przyłączają się do jej żałoby. Jestem zupełnie przekonany, że wyrazy moje doskonale tłumaczą uczucia ludu włoskiego. Humbert.

KRONIKA.

Lwów 26 czerwca.

Arcyksiążę Albrecht przybędzie tu jutro ze Stanisławowa. Rano odbędzie się przegląd wojsk.

Odznaczenie. Hr. Szczęsnemu Koziebrodzkiemu pozwolono nosić komandorski krzyż papieski św. Grzegorza.

Goście z Wiednia. We czwartek o godzinie 5 minut 30 rano przybędą do Lwowa dla zwiedzenia miasta i wystawy członkowie dolno-austryackiego związku przemysłowego pod przewodnictwem barona Czedizka. Goście zamieszkają w hotelach wystawowych. O godzinie 9 rano przybędą na plac wystawy. W południe obiad w restauracyi Zogelmana na wystawie; popołudniu dalsze zwiedzanie wystawy, wieczór bankiet w hali muzycznej, urządzony przez tutejszych kupców i przemysłowców. W piątek rano zwiedzanie miasta, popołudniu zwiedzanie wystawy. Wieczorem powrót do Wiednia.

Popisy w szkole muzycznej p. Maryi Marek, rozpoczną się jutro we środę o godz. 4 popołudniu w sali „Frohsinn“.

Przez omyłkę opuszczono wczoraj nazwisko panny Zakrzewskiej w sprawozdaniu z popisu szkoły śpiewu panny Stróżeckiej. Otóż zapisać winniśmy, że córka znakomitego i ongi tak sympatycznego tenora naszej sceny odziedziczyła po ojcu talent, a wykonane przez nią na popisie „Marzenie“ Chopina i „Fijołek“ Mozarta uwieńczone zostały rzęsistemi oklaskami.

Jeszcze o sprawozdaniu poselskiem dr. Korola. Z Żółkwi nam piszą: Dla uzupełnienia umieszczonego w numerze 142 *Przeglądu* opisu przebiegu wiecu ruskiego zwołanego przed paru dniami przez posła dra Korola do lokalu moskalofilskiego Towarzystwa „Russkiej rady“ na Winnikach w Żółkwi przesyłam wam kilka szczegółów, zaczerpniętych od uczestników tego zebrania:

Cały odczyt dra Korola (dr. Korol przyniósł na zgromadzenie elaborat składający się z 17 arkuszy bitego pisma, który odczytał), trwający blisko pięć godzin, zawierał jeden nieprzerwany szereg napaści na rząd, Sejm i jego „werchewodiaczu partju“, tj. Polaków, na wszystkie bez wyjątku władze, jako istniejące — zdaniem posła — jedynie dla uciskania Rusinów czyli „chłopów“ a dla wygody i przyjemności Polaków czyli „panów“.

Tu zaznaczyć należy, że w sprawozdaniu naszego żółkiewskiego posła słyszeliśmy z niesmakiem powtarzające się zestawianie antitezy „pan“ i „chłop“, przyczem różnicę socyalną, zachodzącą między tymi dwoma podmiotami, akcentował poseł tak wyraźnie i tendencyjnie, iż chwilami zdawało się nam, że słyszymy nie poważnego reprezentanta idei narodowej ruskiej, lecz paryskiego trybuna ulicznego, powiewającego czerwonym sztandarem, albo wiejskiego domorosłego polityka, odświeżającego w pamięci słuchaczów reminiscencye smutnej pamięci dziejów galicyjskich z roku 1846. Dziwnie niekonsekwentnie wyglądało przytem wystąpienie energiczne p. Korola przeciw *Chliborobowi* i drugiemu radykalnemu koledze tego ostatniego *Narodowi*.

Nie brak też było w przebiegu zgromadzenia i komicznych epizodów, jakim był np. wniosek humorystyczny ks. Reszetyły z Magierowa, aby drowi Newestiukowi, radykałowi z Mostów wielkich, wyrazić uroczyste podziękowanie za „bezpłatne wyrywanie zębów mieszkańcom tego miasta“. Równie zabawnem było, jak rozstawieni po sali przez aranżerów wiecu adherenci posła wyrywali się za wcześnie z wykrzykami uznania dla słów sprawozdania, które poseł, czytając, dopiero w chwilę później wypowiadał.

W ten sposób i niewtajemniczonemu w proceder aranżowania wieców ruskich łatwo było poznać, że odczyt posła został niektórym słuchaczom już dniem naprzód starannie w drodze mnemotechnicznej przyswojony. Dziwnie niekonsekwentnie wyglądało i o prawdomówstwie posła Korola ujemnie świadczyło także opowiadanie o zachowaniu się jego w czasie sesyi sejmowej w roku 1892, kiedyto podczas słabości p. Romańczuka miał dr. Korol błagać i prosić tego ostatniego, aby się cofnął z drogi wytyczonej przez „nową erę“ i aby powrócił ze swymi przyjaciołmi na bronione dotąd rzekomo zawsze jeszcze wytrwale przez p. Korola stanowisko opozycyjne; tymczasem — na nieszczęście dla p. Korola a względnie dla jego prawdomówności — są ludzie, którzy doskonale pamiętają, że właśnie w tym czasie poseł Korol sam skłaniał się ku zgodzie i okazując — prawdziwą czy udaną, to mniejsza — skruchę, pielgrzymował z Żółkwi do osób wpływowych, przypominając żywo królewskiego „pielgrzyma do Canossy“. Snać ma nasz poseł nietylko w nazwisku swojem, ale i w naturze „coś“ królewskiego.

Ulubionym konikiem do wyższej jazdy na arenie popularności jest dla p. Korola jego rzetelne niby „narodolubstwo“ jest on według tego, co sam o sobie opowiada, niezmordowanym obrońcą ludu wiejskiego, według jego zdania srodze uciśnionego należytościami za doręczanie pism sądowych na wsi, instytucyę pisarzy gminnych itd. itd.

Ale czy zawsze korzysta p. Korol z najmniejszej sposobności, aby stanąć w obronie praw i potrzeb małej własności rolnej? Czy np. po wielkim pożarze, który nawiedził w r. 1893 dwie oddane mu duszą i ciałem (czytaj „honorarya adwokackie“) gminy żółkiewskiego powiatu Przystań i Dobrosin odezwał się w sejmie p. Korol choć słówkiem za udzieleniem pogorzelcom tych gmin doraźnej zapomogi?

Uczynił to — ale nie on poseł i wysłannik ludu, lecz poseł z większej własności—delegat tych znienawidzonych przez p. Korola „dziedziców“ poseł Łączyński.

Najciekawszy jednak i najlepiej charakteryzujący spryt aranżerów wiecu był sam sposób zwołania tego wiecu. Zaproszenia na to zgromadzenie były w ten sposób stylizowane i ogłoszone — że nie wiedział o nich nikt prócz członków „Żółkiewskiej ruskiej Rady“, natomiast umiarkowane żywioły ruskie — inteligencya ruska i Polacy należący do wyborców z mniejszej własności i mający tem samem prawo uczestniczenia w sejmiku relacyjnym p. Korola nic o nim nie wiedzieli i słysząc jedynie o zgromadzeniu walnem członków Ruskiej narodnej rady na wiec przyjść nie śmieli.

Tem też tłumaczyć sobie należy zgodność słuchaczów o wyrażeniu uznania dla wywodów p. Korola — entuzyazm po skończeniu wiecu, który objawił się aż porwaniem posła na ramiona.

Jak poważnie i taktownie prowadzono dyskusyę świadczy fakt, że obecny na zgromadzeniu delegat rządowy zmuszony był kilkakrotnie zwrócić uwagę przewodniczącego aby nie dozwolił przy krytykowaniu stanowiska p. Barwińskiego okrzyków „Bodaj szczez“ lub wyrażania się p. Korola, że w Sejmie w chwili kiedy p. Romańczuk po raz pierwszy z trybuny referenta przemówił po rusku powstały takie krzyki, iż zdawało się, że się jest w „szynku“.

Dziwne doprawdy, że p. Korol w tych warunkach robi z siebie ofiarę i mandatu nie składa.

Z Konserwatoryum gal. Tow. muzycznego. Publiczny konkurs uczni konserwatoryum odbędzie się jutro we środę 27 czerwca rb. o godzinie 5-tej popołudniu w sali Towarzystwa (gmach teatralny). Rozdanie nagród i odczytanie klasyfikacyi uczniów ze wszystkich działów nauki w konserwatoryum udzielanej, nastąpi w piątek 29 bm. o godzinie 11-ej przedpołudniem.

Schronienie dla artystów i literatów. W kołach literatów i artystów paryskich powstał projekt założenia pod nazwą: *La maison des artistes* schronienia, w którem zarówno artyści pędzla i dłuta, śpiewacy i muzycy, jak i literaci, znajdą pomoc materyalną, a nadto opiekę lekarską. Urządzono już koncert na kapitał fundacyjny tej pożytecznej instytucyi. Inicyatorzy mieli głównie na myśli ludzi rozpoczynających karyerę, a mając w pamięci gorżkie chwile owej doby, pragną ich, o ile możności, zaoszczędzić młodszemu pokoleniu.

Wylewy. Z Kamienicy w Nowosądeckiem piszą nam: Klęska za klęską spada na tutejszą okolicę. Roku zeszłego okropne ulewy i słoty zubożyły naszą ludność, a teraz powódź zdarła uprawne pola, zamuliła i szutrem zasypała niżej położone grunta, uwiozła góry i zabrała drogi i mosty. Od tygodnia jesteśmy zamknięci i odosobnieni od świata, bo dwa mosty na drodze powiatowej łączącej nas z Łąckiem i Limanową, woda uniosła i nasyp drogowy podmuliła. W gminie Szczawa na roli Gardoniów usunęła się góra i wystąpił na jaw dom od dwustu lat zasypany oberwaniem się góry. Widać dach, powałę i ściany; robią zabiegi, aby przekonać się, czy w domu tym nie znajdą jakich zabytków sprzętów lub szkieletów ludzkich. Dom ten jest jeszcze dobrze utrzymany, a gonty na dachu tak długie i szerokie, jakich w tutejszej okolicy nie widać. Wskutek ciągłych deszczów bydło na pastwisku marnieje, a lud cierpi głód. Może ulituje się nad nami zarząd drogowy i przywróci komunikacyę, a nam umożliwi dostanie się do kolei. Podczas powodzi utonął w rzece Kamienicy Franciszek Mikołajczyk, 5letni chłopiec, którego uniósł silny prąd wody.

Zmarli. Teofil Topolnicki, rewident krajowej dyrekcyi skarbu we Lwowie, umarł w 59 r. życia.

Stan powietrza. T. o 7 rano + 9, w poł. + 11° R. Barom 762. Podnosi się. Deszcz.

Z rozmowy na raucie.

— Zdaje mi się, że to pani stary znajomy?

— Panie! — odpowie stara panna z godnością — w moim wieku nie ma się *starych* znajomych!

Literatura i Sztuka.

* **Koncert** wczorajszy gal. Tow. muzycznego w hali muzycznej na wystawie złożył chlubne świadectwo pracy tej instytucyi i jej kierownika p. Szwarza. Program bardzo obfity wykonany był nader starannie tak w części choralnej jak w orkiestralnej Z pomiędzy utworów po raz pierwszy wykonanych zyskały sobie ogólny poklask krakowiaki Noskowskiego, wśród których kilka jest prześlicznych, następnie piękna, znakomicie instrumentowana uwertura Münchheimera „Dźwięki tajemnicze“. Niemniej na uznanie zasłużył sobie Maszyński opracowaniem moniuszkowskiej ballady „Powrót taty.“ Zapał prawdziwie entuzyastyczny wywołała gra p. Wolfsthala, który wykonał mistrzowsko koncert Wieniawskiego. Soliści śpiewacy panie Repkówna i Bohuszówna, pp. Borkowski i dr. Czerny zbierali także zasłużone oklaski.

Doskonały fortepian, użyty na wczorajszym koncercie, pochodzi z fabryki Drozdowskiego w Krakowie.

ODEZWA.

Czując ważność zadania, jakie Towarzystwo Szkoły ludowej ma na celu, aby popierać w każdej chwili i każdym sposobem oświatę ludu, Koło lwowskie Towarzystwa Szkoły ludowej zawiązało Komitet, aby zająć się wycieczkami młodzieży szkolnej ze szkół wiejskich. Zwiedzanie takie wystawy naszej przez młodzież wiejską uważa Koło za jeden z najważniejszych środków nietylko oświaty, ale i podniesienia w nich ducha i dumy narodowej. Ponieważ jednak przyjmowanie, umieszczanie i goszczenie tych miłych gości pociąga za sobą nieprzewidziane wydatki, odwołuje się więc Komitet do znanej ofiarności szlachetnych obywateli całego kraju, którzy dobrze rozumieją znaczenie takich wycieczek, aby bądź datkami, lub braniem udziału w pracy przyjmowania, zechcieli przyjść w pomoc Komitetowi. Dotychczas nie zawiodło nas nigdy odezwanie się do serc patryotycznych i ofiarnych, więc i tym razem posypią się zapewne datki, które choćby najmniejsze, będą przyjęte z radością.

Nie dawajmy wiele, ale dajmy wszyscy!

Ofiary na ten cel będą przyjmować handel Wgo Pana Szkowrona w mieście i na wystawie, księgarnia pp. Jakubowskiego i Zadurowicza, cukiernia p. Grossa, handel p. Bromilskiego, przewodnicząca Koła pani mecenasowa Szałkowska ulica Karola Ludwika l. 1, skarbniczka pani Bieńkowska ulica Ossolińskich l. 11 i sekretarka p. Grossówna Rynek l. 3.

Głosy publiczności.

Zarząd towarzystwa kolonii wakacyjnych dla dziewcząt składa niniejszem gorące podziękowanie tym wszystkim, którzy przyczynieniem się do powodzenia balu panieńskiego ułatwili towarzystwu wysłanie kolonii tegorocznej.

W pierwszej linii należy się hr. Wandzie Badeniance najszczersze „Bóg zapłać“ za przyjęcie protektoratu nad balem i nie szczędzenie pracy około urządzenia go, pracy niemałej i męczącej. Nagrodą za Jej trudy niechaj będzie przekonanie, że dzieci, spragnione powietrza i swobody, jej zawdzięczać będą w pierwszej linii spełnienie swych marzeń i nabranie sił do pracy dalszej.

Niemniej serdecznie dziękujemy wszystkim paniom komitetowym balu, które raczyły sprzedawać bilety i malować gustowne prawdziwie porządki tańców, będące dla każdej z uczestniczek balu miłą i śliczną pamiątką. Tu należy też złożyć podziękę panom komitetowym, którzy energicznie i wytrwale dopomagali paniom w urządzeniu wieczoru. Szczególniejszą zaś wdzięczność z naszej strony, należy się panu Żeleńskiemu, który z właściwą sobie elegancyą i werwą prowadził tańce, ochotą swoją niezmordowaną, porywając innych. Panu prezydentowi Mochnackiemu dziękujemy z serca za wypożyczenie draperyi i luster — p. dyrektorowi Deymie za nadesłanie kwiatów dekoracyjnych, panu pułkownikowi Ocetkiewiczowi za bezpłatnie ofiarowaną muzykę, firmie Siemens i Halske za bezpłatne oświetlenie elektryczne w czasie kotyliona, a panom: Tuszyńskiemu i Eminowiczowi za również bezinteresowne przewiezienie dekoracyi.

Na ostatek zostawiliśmy sobie wyrażenie wdzięczności firmie Haas i synowie za nadzwyczajnie uprzejme i chętne udzielenie nam dywanów, makat i serwet; podnosimy zaś tę uprzejmość tembardziej, że doznaliśmy jej od firmy obcej.

Spełniwszy obowiązki grzeczności, raz jeszcze zasyłamy wszystkim serdeczne: „Bóg zapłać“ w imieniu biednej dziatwy.

Zarząd Towarzystwa kolonii dziewcząt.

Telegramy „Przeglądu“.

Petersburg 26 czerwca. Wczorajszy *Goniec urzędowy* doniósł, że car odjechał przedwczoraj do Borek, aby wziąć udział w poświęceniu cerkwi, wzniesionej na miejscu, gdzie wykoleił się przed kilku laty pociąg, wiozący carską rodzinę.

Salonika 26 czerwca. Król serbski Aleksander przybył tu przedwczoraj wieczorem. Gubernator dał na cześć jego wspaniałą ucztę, a wszystkie okręty w porcie oświetlono rzęsiście.

Wiedeń 26 czerwca. Minister wojny jenerał Krieghammer przybył tu wczoraj po południu z Galicyi.

Tryest 26 czerwca. Wczoraj odbyła się uroczysta konsekracya nowo mianowanego biskupa Veglii ks. Starka.

Salonika 26 czerwca. Król serbski odpłynął wczoraj po południu do Konstantynopola.

Wiedeń 26 czerwca. Cesarzowa ofiarowała 1000 zł. dla nawiedzonych powodzią mieszkańców Galicyi i Szląska.

Wiener Zeitung ogłasza rozporządzenie ministerstwa finansów, wycofające z obiegu z dniem 1 stycznia 1895 srebrne dwudziestocentówki i miedziane czworaki.

Londyn 26 czerwca. Izba niższa uchwaliła udać się do królowej z prośbą, aby przesyłając we własnem imieniu kondolencyę z powodu zamordowania Carnota, dołączyła także kondolencyę tej izby. Taką samą uchwałę powzięła izba lordów.

Konstantynopol 26 czerwca. Chedyw przybył tu wczoraj wieczorem i powitany został przez dostojników sułtańskich. Ostentacyjnego przyjęcia nie zgotowano mu wcale.

Paryż 26 czerwca. Challemel Lacour oświadczył, iż nie przyjmie wyboru na prezydenta. Lewica radykalna stawia kandydaturę Brissona, republikanie i unia demokratyczna stawiają kandydaturę Casimir-Periera.

Paryż 26 czerwca Grupa socyalistyczna deputowanych francuskich postanowiła wziąć udział w wyborze prezydenta, aby nie dopuścić do wyboru kandydata kapitalistyczno-klerykalnej reakcyi.

Lyon 26 czerwca. Protokół lekarski z obdukcyi zwłok Carnota zaznacza, iż rana zadana mu jest taka, jakiej lekarze dotąd nigdy nie widzieli. Sztylet mordercy przebił wątrobę i wbił się w nią na 12 centymetrów głęboko, jedno żebro złamane, nadto sztylet wdarł się do jamy brzusznej na 18 centymetrów. Z Carnota wypłynęło 2 litry krwi.

Lyon 26 czerwca. Sędzia śledczy przypuszcza, że zamordowanie Carnota ma pewien związek z wypadkiem z Aigues Mortes i że zbrodniarz chciał przez zamordowanie prezydenta pomścić nietylko ściętych na gilotynie anarchistów, ale także tych robotników włoskich, którzy zginęli w Aigues Mortes.

Lyon 26 czerwca. Eksportacya zwłok Carnota na dworzec odbyła się wczoraj po południu przy olbrzymim udziale ludności. Arcybiskup pobłogosławił zwłoki, poczem złożono je na lawetę armatnią. Za trumną szli reprezentanci wszystkich władz, stowarzyszenia i korporacye. Gdy kondukt pogrzebowy przechodził ulicami, nie wyprawiano żadnych demonstracyi, później dopiero przeciągali demonstranci ulicami, wołając „Pomścijmy Carnota“, „śmierć mordercy“. W trzeciej dzielnicy splądrowano lokale kupców, których firma wskazuje na obce pochodzenie jej właściciela. — W śródmieściu zmuszono właściciela jednej kawiarni do zamknięcia lokalu, także w innych dzielnicach plądrowano sklepy włoskie, przyczem raniono ciężko jednego ajenta policyjnego. Aresztowano przeszło 300 osób. Spokój przywrócono dopiero po północy.

Paryż 26 czerwca. Dzienniki umiarkowane donoszą, że najwięcej szans zostania prezydentem ma Periér, ale niespodzianka nie jest wykluczoną.

Z prowincyi nadchodzą wiadomości, że w wielu fabrykach oddalono włoskich robotników.

Lwów dnia 26 czerwca. (Z izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 214·50 do 217·50. Kolej Lwów.-Czern. Jasska po 200 zł. w. 275.50 do 278·50. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a, od 415·— do —·—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. gal. 5% losow. w 40 lat. 101·10 do 101·80, 5% z 10% prem. 109·70 do 110·40, 4½% los. w 50 lat. 100·— do 100·70. Banku krajowego 4½% los. w 51 lat. 100·30 do 101.—. Banku krajowego 4½% los. w 57 lat. 97·25 do 97.95 Tow. kredyt. gal. ziemsk. 4% (I. emisya) 98·— do 98·70. 4% los. w 41½ lat. 98.— do 98·70, 4%, los. w 56 latach 97 — do 97·70. 4% los. w 52 lat. —·— do —.—.

Obligi za 100 zł.: Galic. funduszu propinacyjnego 4% 96·90 do 97.60. Bukow. funduszu propinacyjnego 5% 101·80 do 102·50 Kom. banku krajowego 5% w. a. II. em. 102·30 do 103·—, Pożyczki krajowej 6% 105·— do —·—, 4½% 100·— do 100·70 4% z roku 1891 96·80 do 97·50 4% z roku 1893 96·80 do 97·50.

Monety. Dukat cesarski 5·89 do 5·99 Napoleondor 9·93 do 10·03. Półimperyał 10·10 do —.—. Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.33 —do 1.35·—. 100 marek niemieckich 61·20 do 61·70.

Wiedeń dnia 26 czerwca. (godz. 11 w połudn. Kredyty 350.25, kred. węgierskie —.—, Anglob. 153.25, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 245·70, Akcye tytoniowe 213·—, Staatsbahny 341·50, Lombardy (z kup.) 107.— Elbethale — Renta papierowa —.—, Renta węg. 4% kor. —.— Renta węg. złota 4% —.—, Alpiny —.—, Marki 61·45, Losy tur. —.—.

RUCH POCIĄGÓW.

Czas lwowski.

Odchodzą do:	Pociągi pospieszne		Pociągi osobowe		
Krakowa, Wiednia, Wrocławia, Berlina	3·00	**10·46**	**5·26**	11·11	**7·31**
Warszawy	—	**10·46**	**5·26**	—	**7·31**
Chabówki (Zakopanego) via Tarnów lub Rzeszów	—	**10·46**	—	—	—
Chabówki przez Rzeszów lub Przemyśl	—	—	—	11.11	—
Chabówki przez Stryj	—	—	10·26	**7·46**	—
Muszyny Krynicy, Żegiestowa przez Tarnów lub Rzeszów	—	**10·46**	—	—	—
Musz.-Kryn. Żeg. przez Tarnów od 1/6 do 30/9	—	—	—	—	**7·31**
Muszyny Krynicy, Żeg. przez Tarnów	—	—	**5·26**	—	—
M.-Kr. Żeg przez Stryj	—	—	—	**7·46**	
Mezö-Lab, Szczawnego Kulasznego via Przemyśl	—	—	—	—	**7·31**
Nadbrzezia i Tarnobrz.	—	**10·46**	**5·26**	—	—
Podw. i Brod. z dw. gł.	6·44	3·20	10·16	**10·56**	—
" " z Podz.	6·59	3·32	10·41	**11·23**	—
Suczawy	6·51	—	10·51	3·31	**11·06**
Czortkowa przez Halicz	—	—	—	3·31	—
Husiatyna przez Halicz	6·51	—	—	—	**11·06**
Słobody rung. Kopalni	—	—	10·51	—	**11·06**
Nowosielicy	6·51	—	—	—	**11·06**
Berhometu, Czudyna	6·51	—	—	—	—
Radowiec	6·51	—	10.51	—	**11·06**
Kimpolungu	6·51	—	—	3·31	—
Sokala	—	—	9·56	**7·21**	—
Bełzca	—	—	9·56	—	—
Borysławia przez Stryj	—	—	6·16	10·26	—
Ławocznego, Munkacza Szereucz Miskolcz, Peszt i Chyrowa przez Stryj	—	—	6·16	—	**7·46**
Stanisławowa, Doliny, Bolechowa przez Stryj	—	—	—	10·26	**7·46**
Skolego i Chyr via Stryj	—	—	—	10·26	—
Stryja i Skolego	—	—	—	3·41	—
Hrebenow od 10/7—30/8	—	—	—	10·26	—
Brzuchowic od 12/5	—	—	4·06	—	—
Zimnej wody od 12/5	—	—	4·18	—	—
Przychodzą z:					
Krakowa (Berlina, Wrocławia, Wiednia)	3·08	6·01	9·36	**6·46**	**9·36**
Warszawy	—	6·01	9·36	—	**9·36**
Chabówki (Zakop.) przez Przem. Rzesz. lub Tarn.	3·08	—	—	—	—
Chabówki przez Rzeszów lub Tarnów	—	6·01	—	—	—
Chabówki przez Stryj	—	—	9·10	—	—
Muszyny Krynicy, Żegiestowa przez Tarnów	—	—	—	—	**9·36**
Musz.-Kryn Żeg przez Rzeszów lub Tarnów	—	6·01	—	—	—
M.-Kr. Żeg. przez Tarnów (od 1/6 do 30/9)	—	—	9·36	—	—
Mezö-Lab., Szczawnego-Kulesz. przez Przemyśl	—	—	9·36	—	—
Nadbrzezia i Tarnobrz.	—	—	—	**6·46**	—
Podw. i Brodów dw. gł.	2·48	**10·05**	9·46	**6·21**	—
Podw. i Brodów Podz.	2·34	**9·49**	9·21	5·55	—
Suczawy	**10·16**	—	8·13	1·03	**7·11**
Kimpolungu	**10·16**	—	8.13	—	—
Radowiec	**10·16**	—	8·13	—	**7·11**
Berhometu i Czudyna	**10·16**	—	—	—	—
Nowosielicy	**10·16**	—	8.13	—	—
Słobody rung. Kopalni	**10·16**	—	—	—	**7·11**
Husiatyna przez Halicz	**10·16**	—	8.13	—	—
Czortkowa przez Halicz	—	—	—	1·03	—
Borysławia przez Stryj	—	—	2·38	**12·46**	—
Bełzca	—	—	—	5·21	—
Sokala	—	—	8·24	5·21	—
Ławocznego (Pesztu, Misk., Sz. Munk.) Chyr. i Stanisł. przez Stryj	—	—	9·10	**12·46**	—
Stryja i Skolego	—	—	**9·23**	—	—
Skolego, Chyrowa i Stanisławowa przez Stryj	—	—	2·38	—	—
Hrebenow od 10/7—30/8	—	—	2·38	—	—
Brzuchowic od 12/5	—	—	**8·37**	—	—

Uwaga: Godziny drukowane grubemi liczbami oznaczają porę nocną od 6 wieczorem do godz. 5 m. 59 rano.

W biórze informacyjnem c. k. austr. kolei państwowych we Lwowie, ul. Trzeciego Maja l. 3 (Hotel Imperial) jest sprzedaż biletów strefowych, okrężnych, dowolnie zestawialnych, zeszytów do jazdy, taryf i rozkładów jazdy w formacie kieszonkowym. Informacye w sprawach taryfowych i przewozowych.

74)

KRÓLOWA ZŁOTA.

POWIEŚĆ

PAWŁA d'AIGREMONT.

(Ciąg dalszy).

— Raczą panie udać się za mną — rzekł dozorca i zwrócił się ku drzwiom.

Przebyły kilka korytarzy i weszły do salki, przeznaczonej dla sędziego śledczego lub dla szefa policyi, gdy potrzebowali widzieć się z więźniami.

Siadły na skromnych krzesełkach wyplatanych i z bijącemi sercami oczekiwały prawie cały kwadrans.

Nareszcie czyjeś szybkie kroki dały się słyszeć w korytarzu.

Otworzyły się drzwi i na progu stanął Robert.

Spojrzał przed siebie zdziwiony, nie wiedział bowiem, kto pragnął z nim się widzieć.

Ale Helena nie dała mu czasu do oprzytomnienia. Chyża jak myśl, wydała okrzyk, rzuciła się ku niemu i wspiąwszy się na palcach, zarzuciła ramiona na szyję swego narzeczonego.

— Robert... mój Robert! — szeptała w uniesieniu.

On, zaskoczony tak niespodzianem szczęściem, przycisnął ją do serca i spoglądał na nią niezdolny przemówić, nie wierząc własnym oczom. Nie widział nawet Pauliny, która, wyprostowana i blada jak widmo, spoglądała na niego swemi wielkiemi oczyma, zwiększonemi jeszcze pod wpływem wzruszenia.

— Heleno! — zawołał nareszcie — Heleno ukochana... skarbie mój, aniele! Więc to ty?! Ach, jakże dobry jest Bóg!

W rzewnym tonie tego głosu drgał bez wątpienia ten sam dźwięk, ten sam akcent, jaki brzmiał niegdyś i pozostał na zawsze w sercu i uchu nieszczęśliwej matki.

To był on! To samo dziecię tak poszukiwane, opłakiwane, wzywane!

On, w którego żyłach płynęły ostatnie krople uczciwej krwi Jacobsenów.

On, którego Paulina pragnęła choć raz przed śmiercią uścisnąć i pobłogosławić.

Baronowa, wpatrzona w niego, zastanawiała się nad każdym rysem twarzy.

Teraz widziała wyraźnie. Te ciemne oczy były jej znane, to jej własne... i dolna część twarzy również. Wycięcie ust Piotra, a następnie Oliviera, który je miał po ojcu. Ale czoło, to wielkie czoło wspaniałe, które wedle wyrażenia Heleny pochłaniało mu twarz całą, było kopią czoła Santa-Cruzów, Heleny i... nie ulega wątpliwości... tej przeklętej kobiety, mianującej się hrabiną de Rochebelle.

W podobieństwie tem Paulina widziała teraz dowód, że Robert, podrzucone dziecko w Orleanie, był poszukiwanym przez nią synem Oliviera.

Ogłuszona szczęściem, rozrzewniona do najwyższego stopnia, przymknęła oczy pod siłą wzruszenia.

Helena ujęła rękę Roberta i podeszła z nim do Pauliny.

— Nie — odrzekła na jego pytanie — to nie Sybila przyszła ze mną, to moja ukochana matka chrzestna. Nie znasz jej jeszcze, Robercie; ale ja ją zapewniłam, że kochasz wszystkich, których ja kocham. Wszak prawda?

— Masz słuszność, Heleno droga. Mówisz, że jej nie znam... mylisz się. Wszak tyle razy mówiłaś mi o niej. Od ciebie znam jej życie, jej cierpienia i dobroć niezmierną. Wiem, jak jest szlachetną, prawą i szanowaną przez wszystkich. I to ona raczyła nawiedzić mnie w tym domu hańby! Przyszła z tobą, aby powiedzieć mi, że równie jak ty wierzy w moją niewinność!... Ach, dzięki pani! — rzekł ze złożonemi rękami, zwróciwszy się do Pauliny i miał uklęknąć przed nią.

Życie Pauliny skupiło się w oczach.

Helena zrozumiała ruch Roberta i uprzedziła go. Ujęła jego rękę i podstępując do baronowej, rzekła:

— Matko moja droga, zanim tamta druga będzie mi wrócona, uściśnij mego narzeczonego, to mu przyniesie szczęście.

Pani Jacobsen zadrżała czując, że życie z niej uchodzi. Ach, ta Helena, jak ona przewidywała pragnienie jej serca!

Ale należało zapanować nad sobą, nawet w interesie Roberta, któremu nie chciała nic powiedzieć przynajmniej do czasu, aby biednej złamanej duszy jego nie dodawać niepokoju.

— Dobrze — odrzekła — czegożbym ja ci odmówiła drogie dziecko moje? Chodź, Robercie, spełnij życzenie twej narzeczonej.

Nachylił się przed nią, a ona ujęła w dłonie tę piękną dumną głowę, na której spoczęły teraz wszystkie jej nadzieje i szczęście.

Pragnęła pokryć pocałunkami jego włosy, czoło, oczy, twarz całą, ale ostatnim wysiłkiem woli powstrzymała się.

Dotknęła wreszcie ustami jego czoła, lecz pocałunek ten, chociaż daleki był od tego, jaki palił jej usta, był przecież tak przeciągły, gorący, głęboki, że Robert echo jego uczuł aż w sercu.

— Ach, pani — szepnął zmięszany — jaka pani dobra!...

— Nie nazywaj mię panią, moje dziecko — odrzekła Paulina ze łzami w oczach — nazywaj mnie matką chrzestną, jak Helena; nazwa ta będzie mi przyjemniejszą i zgodniejszą z mojem uczuciem dla ciebie.

Ale Helena, owa Helena sztywna, miewała czasami prawdziwe wybuchy czułości.

— Mateczko! — zawołała — chcesz, by Robert nazywał cię matką chrzestną? Nie, to za mało! I ja nie chcę cię już odtąd tak nazywać!

— A jak? — zapytała pani Jacobsen zmieszana, domyślając się myśli Heleny.

— Robert będzie cię nazywał tak jak ja cię będę w przyszłości nazywała, tem imieniem drogiem, jakiego usta moje od lat jedenastu nie wymawiały, a którego on nigdy nie wymówił w życiu...

I zwróciwszy się do swego narzeczonego, dodała:

— Nieraz opowiadałam ci, jak sam przypominałeś przed chwilą, o mojej matce chrzestnej. Ale nie wiesz, że miłość, jaką okazywała mi od moich lat dziecinnych i wszystko, co uczyniła dla mnie, jest niczem w porównaniu z tem, co znalazłam w jej sercu od czasu spadłej na nas katastrofy!...

Uwięziono cię i oskarżono o haniebną zbrodnię... Teresa w obłąkaniu swem wzięła cię za osobę inną i oskarżyła... Dla ocalenia ciebie potrzeba było wrócić zmysły mej siostrze... Wszystkie usiłowania nasze w tym celu zawiodły... Pozostawał środek jedyny: sprowadzić Andrzeja, którego ona kocha jak ja kocham ciebie... Ale Andrzej przebywa na krańcu świata, w pustyni. Zanim zostałby powiadomiony, ciebie już by tu potępili... A Teresa, której powrotu do zdrowia lękano się, nie była bezpieczną w pałacu Rochebelle... Po raz drugi czyniono zamach na jej życie!...

— Czyż to być może! — zawołał Robert — ach, biedna Heleno, ileś ty musiała cierpieć!

— Nie mogąc nic pomódz i będąc zrozpaczoną, byłabym chyba już nie żyła, gdyby nie pani Jacobsen. Ona wysłała statek i zaufanych ludzi dla sprowadzenia Andrzeja. Dała mi środki, z pomocą których mogłam wykraść Teresę i ukryć w miejscu bezpiecznem, a po moim powrocie przyjęła mnie do siebie, i postępuje ze mną jak z córką rodzoną, kocha, pociesza, dodaje odwagi...

Nie płacz, mateczko droga... Dzięki twojej dobroci tylko nie upadłam pod ciężarem cierpienia... Kochałaś mnie jak córkę: sprawiedliwą więc rzeczą, byśmy cię uważali za matkę. Czyż nieprawda Robercie?

— Masz rację, ty droga, święta moja! Sprawiasz mi największe szczęście, pozwalając mi brać udział w uczuciach twego serca.

— Widziałam jak niedawno chciałeś uklęknąć przed panią Jacobsen, lecz ja ci przeszkodziłam. Lecz teraz uklęknij wraz ze mną i powtórz za mną słowa: Mateczko droga, czcimy i kochamy cię oboje.

Helena wypowiedziała te słowa z przejmującą serdecznością. Chciała ona, by Robert nazwał Paulinę tem drogiem imieniem, wiedziała bowiem, do jakiego stopnia biedna kobieta spragniona była usłyszeć je z ust jego.

Robert, podniecony tą sceną, czując nieprzeparty pociąg do Pauliny, przezwyciężył w tej chwili wrodzoną nieśmiałość i ujmując jej rękę, drżącym głosem powtórzył za Heleną:

— Matko moja droga!...

Pani Jacobsen nie miała już siły dłużej zapanować nad sobą. Otoczyła ich ramionami i całując głowy, rzekła:

— Moje dzieci ukochane!... Ach, jakiż Bóg jest dobry, jaka ja jestem szczęśliwa!

Ale musieli podtrzymać ją, gdyż zachwiała się.

Gdy nareszcie uspokoiła się nieco, posadziła ich obok siebie i ujęła ich dłonie.

Zaczęli rozmawiać i snuć projekty bez końca.

Robert będzie stanowczo uniewinniony... Andrzej powróci wkrótce... Pan Garville telegrafował już kilkakrotnie... Nabyty jacht był szybszym niż spodziewano się... Garville jest marynarzem znakomitym i z pewnością przybędzie na czas...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor Wacław Masłowski. — Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. — Z drukarni pod zarządem W. Masłowskiego. — Zarządca W. Hedy.